

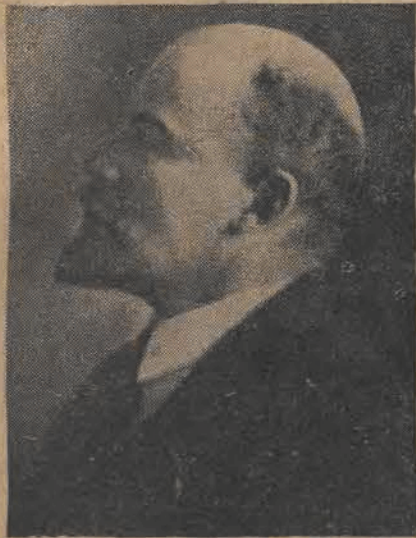
Cena 15 zł.

16 stron

KUŹNICA

Rok III Łódź, 28 stycznia 1947 r. Nr 4 (73)
TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

W 23 rocznicę śmierci Lenina



Ilustracje do artykułu na str. 3

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

Pedagogika personalizmu i pedagogika socjalizmu*)

LATA międzywojenne obfitowały w prace z zakresu psychologii młodzieży. Przdowali tu Niemcy i nadawali kierunek. Jaki? Idealistyczny, romantyczny, mistyczny, jak przystało na naród filozofów i poetów. Oni to odkryli, że okres dojrzewania młodzieży, rozciągający się od 14 do 21, a nawet do 24 lat życia, kształtuje się pod znakiem „odkrycia jaźni”. W tym okresie młodzież zaabsorbowana jest poznawaniem samej siebie, odkrywaniem własnej „psychiki”, „duszy”. Pod przemożnym wpływem tej psychologicznej poezji kształtowała się także w Polsce psychologiczna nauka o młodzieży.

W Polsce, tak jak i gdzie indziej, w tej romantycznej psychologii młodzieży szukano naukowego oparcia dla pedagogicznej techniki. Zgodnie z założeniami tej psychologii technika pedagogiczna polegała na podlewaniu kwiatka, który rozwijał się samorzutnie, sam z siebie, w świetle i ciepłe słońca. Jak kwiat z gleby, tak wychowanek ciągnął soki ze stabilizowanej sytuacji mieszczańskiego dobrobytu, dającego poczucie sytości, stałości i bezpieczeństwa, zaufania do istniejących instytucji i wiary w przyszłość. Rozwijał się jak kwiat w ciepłe optymistycznej ideologii liberalizmu.

W historycznej perspektywie czasów obecnych, nie mamy już złudzeń co do tego, jak iluzoryczną była stabilizacja lat międzywojennych i kiedy wracamy myślą do tej romantycznej psychologii młodzieży tamtych lat, to widzimy w niej dokument epoki schyłkowej i skończonej. I kiedy liczne książki z tego zakresu mamy jakoś umiejscowić w historycznej epoce, tak aby je związać z innymi przejawami kultury, to nie mamy co do tego wątpliwości, że poezję psychologiczną, obracającą się dokoła „odkrywania jaźni”, należy związać z wpływem, jaki idealistyczny romantyzm wywarł na ukształtowanie się wyobrażeń o młodości — i o wychowaniu młodzieży.

II.

Toteż, kiedy szukamy socjologicznych elementów pedagogicznej techniki naszych

czasów, nie zwracamy się do romantycznej psychologii, która widziała młodość czasów, nie zwracamy się do romantycznej Sięgnijmy do tej dziedziny, w której młodość i młodość występuje jako podstawowy czynnik przekształcenia rzeczywistości społecznej. Tą dziedziną stanowią potężne ruchy młodzieżowe: komunistyczny i faszystowski, oraz narodowo-socjalistyczny. Międzywojenne dwudziestolecie 1919—1939, znamionuje dominowanie tych ruchów, które rozwinęły nową technikę pedagogiczną. Te ruchy, a nie zdobywcze akademickiej pedagogiki i psychologii rozwojowej, stanowią prawdziwą rewolucję pedagogiczną, jaka się dokonała w międzywojennym dwudziestolecu.

Na czym polega ta rewolucyjna zmiana techniki pedagogicznej? Przyjrzyjmy się w pierw bliżej tradycyjnej technice pedagogicznej, jaką stosuje się w szkole. Opiera się ona na założeniu, że czynności wychowawcze i nauczające odnoszą się do indywidualności wychowanka i skuteczność ich zależy od psychologicznej wiedzy o jednostce ludzkiej. Stosunek wychowawczy łączy tutaj indywidualną jednostkę ludzką z indywidualnym nauczycielem. Dlatego zaarjomość „duszy” wychowanka jest nieodzownym elementem owocności pracy pedagogicznej. Dlatego też podkreśla się podstawowe znaczenie psychologicznej osobowości nauczyciela, która oddziałuje bezpośrednio na psychologiczną osobowość ucznia.

Pedagogiczno - nauczające oddziaływanie nauczyciela skierowuje się ku obiektywnym systemom nauki, sztuki i moralności. Zadanie nauczyciela polega na tym, że rozbudza on zainteresowania w tym kierunku, podtrzymuje je, organizuje i utrwała w psychice ucznia.

U przedstawicieli filozoficznej „pedagogiki kultury”, czy „pedagogiki osobowości” ta indywidualistyczna technika pedagogiczna opiera się na idealistycznej teorii kultury. Według tego kierunku powiązanie wychowania z autonomicznymi obiektywnymi systemami wartości kultury jest tak ścisłe, że należy do istoty wychowania i pedagogiki. Według tego kierunku u społeczeństw pierwotnych nie ma wychowania, nie ma kultury, ani pedagogiki. Wia-

domo bowiem, że w tych społeczeństwach wartości kulturalne nie wyodrębniły się jeszcze w autonomiczne systemy. U tych ludów nad wszystkimi dominuje życie społeczno - grupowe, któremu podporządkowane są wszystkie dziedziny.

Przedstawiona psychologiczna technika pedagogiczna polega na tym, że odnosi się do jednostki. Z punktu widzenia socjologicznego ta technika jest charakterystyczna przez to, że zbiorowość uczących się nie jest tu uwzględniona jako istotny element techniki działania. Klasa szkolna jako twór związany z wychowaniem z założenia swego posiada charakter jednostki administracyjno - dydaktycznej. Później szkoły na klasy to jest system segregowania młodzieży według formalnych kryteriów szkolnych. W początkach tego systemu nie było intencji organizowania grupy społecznej uczących się. Ten moment zjawiał się w odniesieniu do klasy szkolnej bardzo późno, dopiero pod wpływem rozwoju socjologii.

Z reguły klasa szkolna z jednostki administracyjno - dydaktycznej przekształca się w grupę społeczną w skutek samorzutnych procesów zbiorowego życia młodzieży, nie wiążących się z nauczaniem i uczeniem się. Przeciwnie niektóre elementy grupowej solidarności klasy szkolnej rodzą się w reakcji przeciwko narzucanym obowiązkom szkolnym. Fakt, że ściąganie lub podpowiadanie są traktowane jako obowiązek koleżeński, wiąże się z tym, że koleżeńska solidarność klasy organizuje się w oparciu o konieczność zbiorowej samoobrony przed szkołą i nauczycielem. Z reguły klasa szkolna jest zbiorem uczących się, ale nie jest społeczną grupą uczących się, uczenie nie ma tu charakteru wspólnego zadania całej grupy. Nauczyciel jako „funkcjonariusz szkoły stoi poza grupą młodzieży. On nie należy do klasy. Nawet wtedy, gdy nauczyciel żyje się z klasą tak dalece, że klasa uważa go za swojego, sytuacja nie zmienia się zasadniczo. Życie z klasą dokonuje się bowiem nie na podłożu nauczycielskich funkcji, lecz dzięki osobistym kwalifikacjom. Nauczyciel staje się dla klasy szkolnej „swoim” nie dlatego, że jest nauczycielem, ale mimo to.

Przedstawiona tu technika pedagogiczna szkolna, indywidualistyczna i psycholo-

„Komunistą można stać się tylko wtedy, gdy swą pamięć wzbogaci się znajomością tego całego dorobku, którzy wytworzyła ludzkość”.

Włodzimierz Lenin

TREŚĆ NUMERU:

JÓZEF CHAŁASIŃSKI —
 PEDAGOGIKA PERSONALIZMU
 I PEDAGOGIKA SOCJALIZMU

CELINA BOBIŃSKA —
 REWOLUCJA KLASYCZNA

STEFAN ŻÓLKIEWSKI —
 ROZMAITOŚCI

MICHAŁ M. BORWICZ —
 ADAM WAŻYK —
 JAN KOTT —

SPRAWA STANISŁAWA
 WASYLEWSKIEGO

KAZIMIERZ BRANDYS —
 „MEDALIONY” ZOFII
 NAŁKOWSKIEJ

ADOLF RUDNICKI —
 WIELKI STEFAN KONECKI

JAN ZABŁOCKI —
 CASUS THEODORE BILBO

STEFAN ŻÓLKIEWSKI —
 ZE WSPOMNIENI POLSKIEGO
 INTELIGENTA (II)

AWK —
 PIERWSZY PEŁNY METRAŻ
 KRAJOWY

RYSZARD MATUSZEWSKI —
 „GODZINA ŻYCIA”

PRZEGLĄD PRASY
 KORESPONDENCJA
 NOTY

giczna przeniesiona została ze szkoły na oświatę dorosłych. Popularyzacja wiedzy i t.zw. upowszechnienie kultury opierało się, a w znacznej mierze opiera się jeszcze na indywidualistycznej psychologii uczenia się. Według tej psychologii oświatę dorosłych jak i nauczanie młodzieży, należy oprzeć na zainteresowaniach indywidualnego osobnika ludzkiego. Zainteresowania jednostki zmieniają się z wiekiem, a więc oświata dorosłych musi brać za podstawę inne zainteresowania jednostki niż szkoła. Zasadniczo jednakże pedagogika dorosłych nie różni się od pedagogiki szkolnej. Obydwie opierają się na zainteresowaniu, jako na elemencie indywidualnej psychiki ludzkiej. Obydwie uwzględniają indywidualne różnicowanie zainteresowań oraz różnicowanie zainteresowań odpowiadające różnym fazom naturalnego rozwoju psychiki ludzkiej i obydwie posługują się taką samą indywidualistycznie - psychologiczną techniką pedagogiczną.

Z tego punktu widzenia określenie „upowszechnienie kultury” to jest z jednej strony udostępnienie każdej jednostce ludzkiej niezbędnych elementów kultury, jak czytanie, pisanie, książki o charakterze codziennej użyteczności itp., a z drugiej strony jest to umożliwienie jednostkom zaspokajania ich indywidualnych zainteresowań kulturalnych. Nie przypadkowo używa się tutaj przenośni z dziedziny aprowizacji i mówi się o konsumcji kulturalnej. Psychologiczna technika oświaty dorosłych, tak samo jak i szkoły, służy upowszechnieniu „konsumcji” kulturalnej. Chodzi zarówno o to, aby każda jednostka miała dostęp do książki, jak do chleba, a poza tym, aby według upodobania mogła konsumować smakołyki kultury, tak samo — jak smakołyki gastronomiczne.

Ukoronowaniem tej indywidualistycznej koncepcji pedagogicznej jest socjalna filozofia liberalizmu, według której całość społeczna powstaje samorzutnie z indywidualnych wysiłków, zgodnie z organiczną budową społeczeństwa według prawa natury, które zabezpiecza zasadniczą zgodność interesów jednostkowych i zbiorowych i które sprawia, że naturalnym wyrazicielem społeczeństwa jest jednostka ludzka rozumna i nieskrępowana w swej swobodzie.

*) Odczyt wygłoszony na zjeździe pracowników „Czytelnika” w Warszawie dn. 14 grudnia 1946.

III.

Przedstawiłem ten indywidualistyczny typ wychowania i techniki pedagogicznej, personalistycznej, który stanowił główny temat zainteresowań pedagogiki uniwersyteckiej przed wojną i obecnie znowu odżywa. Ten renesans pedagogiki personalistycznej u nas nie trudno zrozumieć. Jest on wyraźną reakcją buntu przeciw hitlerowskim metodom, jakie niemiecki „naród panów” stosował konsekwentnie celem totalnego wyniszczenia wód „polskich niewolników” moralnej osobowości, poczucia wolności i godności osobistej. Społeczeństwo niszczone nie tylko biologicznie, lecz także moralnie przez totalnego wroga, którego system wychowawczy był integralną częścią systemu społeczno-politycznego, z nienawiścią odnosi się do wszelkich pozostałości tego systemu. Na temat pedagogiki tego zniechęconego systemu nie myśli się i nie chce się myśleć. Ucieka się od niego w mintony świat liberalizmu marzy się o jego powrocie. Dąży się do wolności osobistej za wszelką cenę, jak gdyby wolność osobista mogła być przywrócona za wszelką cenę, choćby na drodze ucieczki od rzeczywistości.

A jaka jest rzeczywistość. Rzeczywistość jest groźna. Dwudziestolecie międzywojenne dowiodło, że wolność człowieka, zdobywana stopniowo przez wieki ruchów wolnościowych nie jest w stanie się obronić, nie jest w stanie obrony zorganizować. Dwudziestolecie międzywojenne wykazało, że pedagogika indywidualistyczno-personalistyczna zawiodła właśnie w tym względzie zasadniczo, że wychowując młodzież w kulcie wolności osobistej, nie potrafiła jej zabezpieczyć przed utratą wolności. Pedagogika personalistyczna została pokonana przez ten system pedagogiczny, który się ucieleśnił w hitlerjugend i w młodzieżowym ruchu faszystowskim. Pedagogika czarnych czy brunatnych koszul okazała się silniejsza od pedagogiki „odkrywania jaźni”. Sukces pedagogiki czarnych koszul budzi nie tylko uzasadniony niepokój co do tego, że w społeczeństwie tkwią siły sprzyjające odrzuceniu się faszyzmu. Ten sukces dowodzi również, że romantyczna pedagogika personalistyczna nie jest w stanie odwrócić tego niebezpieczeństwa. Słusznie też socjolog niemiecki Mannheim, piszący na emigracji w Anglii, zwrócił uwagę na konieczność gruntownego zbadania nie tylko źródeł faszyzmu, lecz także pedagogicznej socjotechniki faszyzmu czy narodowego socjalizmu.

Problem jaki się tutaj nasuwa nie dotyczy społeczno-politycznej ideologii tych ruchów, lecz społecznej techniki, jaką się posługiwały w masowym wychowaniu młodzieży. To rozróżnienie pomiędzy techniką działania, a ideologią jest ważne tym bardziej, że ruchy ideologiczne sobie obce, jak faszyzm czy komunizm wykazują podobne elementy społecznej techniki działania. W obydwóch ruchach punkt ciężkości wychowania, społeczna funkcja wychowania, wiązała się z potężnymi związkami młodzieży. Wychowanie zostało oparte na związkach młodzieży ożywionych wspólnością celów i zadań społecznych. Powstała zupełnie nowa technika pedagogiczna. Dawna technika pedagogiczna szkolna odnosiła się do jednostki, a klasa szkolna była zbiorem jednostek zebranych w jednej sali ze względów administracyjno-dydaktycznych. Nowa technika pedagogiczna odnosi się do społecznych grup młodzieży, związanych wspólnością celów i realnych zadań społecznych i należących do wielkiego ogólnokrajowego, a nawet światowego ruchu społecznego. Ze względu na zasadniczą rolę grupy społecznej, na jakiej się opierała, technikę tę można określić jako socjologiczną, w przeciwstawieniu do dawnej techniki psychologicznej.

Technikę tę można także nazwać socjalistyczną, ponieważ wiąże się ona z ruchem socjalistycznym od jego początków. W ruchu socjalistycznym wychowanie nie tylko stawia sobie za cele rozbudzenie świadomości klasowej, nie tylko apeluje do młodzieży jako członków klasy, lecz także posługuje się techniką tworzenia grup młodzieży, ożywionych wspólnością idei i zadań.

Typ związku młodzieży, łączącego w sobie wychowanie młodzieży z realnym jej zadaniem w budowie nowego społeczeństwa, typ ukształtowany przez rewolucję bolszewicką, stał się pierwowzorem dla ruchów młodzieżowych w innych krajach. Tego rodzaju związki młodzieży wysunęły się na czoło procesów wychowawczych międzywojennego okresu. Cechuje je trak-

towanie związku młodzieży jako narzędzia wychowania i równocześnie jako realnej siły społecznej w przebudowie społeczeństwa. To odróżnia związki tego rewolucyjnego typu od związku typu harcerstwa, pojętego tylko jako narzędzie wychowawcze.

Mając przed oczami związki młodzieży, z ich podobieństwami i zasadniczymi różnicami, przejdźmy do analizy tych elementów, które związkom tym nadają charakter nowej techniki pedagogicznej socjologicznego typu.

IV.

Zwróćmy przede wszystkim uwagę na ideał wykształcenia. W dawnej technice pedagogicznej ideał wykształcenia wiązał się ściśle z pojmowaniem nauki i kultury jako autonomicznych systemów kulturowych, której wartości wychowanie przekazuje indywidualnym osobowościom. Technika pedagogiczna rewolucyjnych związków młodzieży wiąże się z innymi ideałami wykształcenia. Technika ta skierowuje młodzież ku wiedzy jako wartości społecznej i jako narzędziu realizacji nowego społeczeństwa.

Taki ideał wykształcenia postawił Lenin przed ruchem młodzieży komunistycznej.

„Stara szkoła twierdziła — mówił Lenin do młodzieży komunistycznej w 1920 r. — że pragnie stworzyć człowieka wszechstronnie wykształconego, że udziela nauki w ogóle. Wiemy, że było to nawskróś kłamliwe, gdyż całe społeczeństwo było oparte i trzymało się na podziale ludzi na klasy, na wyzyskiwaczy i uciskanych. Oczywiście — cała stara szkoła, będąc na wskroś przepojona duchem klasowym, szczyła wiedzę jedynie wśród dzieci burżuazji...”

Zamiast dawnej musztry, która stosowana w społeczeństwie burżuazyjnym wbrew woli większości, wysuwamy świadomą karność robotników i chłopów, którzy z nienawiścią do starego społeczeństwa łączą stanowczość, umiętność i gotowość zjednoczenia i zorganizowania się do walki, aby z woli milionów i setek milionów niepowiązanych ze sobą, rozproszonych, rozrzuconych na obszarach ogromnego kraju, stworzyć jednolitą wolę, gdyż bez jednolitej woli będziemy nieuchronnie rozgromieni. Bez tego zespolenia, bez tej świadomej karność robotników i chłopów sprawa nasza byłaby beznadziejna. Bez tego nie potrafimy zwyciężyć kapitalistów i obszarników całego świata. Nie umocniłyśmy nawet fundamentu, nie mówiąc już o tym, by na fundamencie tym zbudować nowe, komunistyczne społeczeństwo. Społeczeństwa komunistycznego nie można zbudować bez odrzucenia przemysłu i rolnictwa, przy tym odrzucić je należy nie na stara modłę. Trzeba je odrzucić w oparciu o współczesną, zbudowaną według ostatniego słowa nauki podstawę. Wiele, że podstawa ta jest obiektywna, że tylko wtedy, gdy dokonamy elektryfikacji całego kraju, wszystkich gałęzi przemysłu i rolnictwa, gdy to zadanie opanujemy, wtedy dopiero potrafimy zbudować dla siebie społeczeństwo komunistyczne, którego nie zdola zbudować stare pokolenie...”

Przytoczyłem wstęp z przemówienia Lenina, doskonale ilustrujący istotne elementy nowej socjotechniki wychowania. Faszystom i hitlerystom odrzuciły ideały komunizmu i społeczna filozofia marksizmu, ale przejęły socjotechnikę wychowania, polegającą na wychowaniu przez grupę. Tę socjotechnikę przejęły nie tylko ze względu na jej przydatność do walki z komunizmem, lecz także ze względu na to, że konieczność zastosowania takiej socjotechniki wynikała z dążenia do opanowania masowych procesów dezorganizacji społeczeństwa kapitalistycznego i do wyzyskania tych procesów dla własnych celów politycznych. To też mimo zasadnicze przeciwieństwa ideologiczne ruchu komunistycznego i faszystowsko-hitlerowskiego, w socjotechnice tych ruchów, występuje wspólny element formalno-socjologiczny — grupa społeczna.

Polega on na tym, że technika ta nie opiera się na zainteresowaniach jednostkowej psychiki. Ona się opiera na osobistej społecznej roli młodzieży w potężnym ruchu rewolucyjnym. Ta technika odwołuje się do młodocianych komunistów czy faszystów, do ich świadomości grupowej, do ich poczucia solidarności grupowej w walce o nowe ideały, do ich poczucia odpowiedzialności za zwycięstwo rewolucji. Ta technika społeczna nie odwołuje się do ich „jaźni”, nie stawia przed młodzieżą idealnego wzoru osobowości do naśladowania. Ona stawia przed młodzieżą realne zadania techniczne, gospodarcze i społeczne, jako te zadania, za których rozwiązanie odpowiedzialna jest młodzież i to przede wszystkim młodzież. Ta technika nie traktuje młodzieży jako istoty niedojrzałej; ona odnosi się do młodzieży jako do głównych

budowniczych społeczeństwa.

Z punktu widzenia psychologicznego wiarygodność tej techniki pedagogicznej polega na tym, że opiera się ona na zainteresowaniach jednostki ludzkiej związanych z jej rolą w grupie społecznej, a nie na popędach traktowanych jako naturalne przejawy jednostkowej psychiki. Wychowanie, jaktemu podlega młodzież w tych związkach, rozbudza, organizuje i podtrzymuje zainteresowania jednostki jako komunisty lub faszysty, a nie jako oderwanej abstrakcyjnej jednostki.

Nie zajmując się na tym miejscu analizą porównawczą wychowania komunistycznego i faszystowskiego w ich całokształcie, a zwracając uwagę tylko na podstawowy element formalno-socjologiczny, nie można jednakże nie wspomnieć o pewnej istotnej różnicy społecznej filozofii wychowania komunistycznego i faszystowskiego. Jakkolwiek obydwa systemy wychowania opierają swoją technikę na grupie społecznej i na zainteresowaniach związanych z grupą, to jednak w obydwóch wypadkach różna jest pojmowanie istoty więzi społecznej. Podstawą socjotechniki komunistycznej jest więź wiążąca człowieka z warsztatem pracy, co według marksizmu stanowi istotę uspołecznienia człowieka. Podstawą zaś socjotechniki hitlerowskiej jest więź polityczna. Teoretycy hitlerysty (Carl Schmidt i inni) kładli nacisk na to, że więź polityczna, jest więzią specyficzną, samą dla siebie, która w sposób totalny jednoczy przyjaciół przeciw wrogom. Więź polityczna była tu traktowana jako przejaw więzi „krwi” i „rasy”. Komórki Hitlerjugend były traktowane jako komórki politycznej jednności narodu, jako wspólności nienawiści i wojny. Taką polityczną wspólnotę narodu, pojętą jako coś wiecznego, hitlerysty przeciwstawiali społeczeństwu przemysłowemu, jako zjawisku drugorzędnemu, w którym widział jedynie historyczne narzędzie polityczne.

W przeciwstawieniu do filozofii hitlerysty socjotechnika socjalizmu wiąże się z filozofią, według której nowoczesne społeczeństwo przemysłowe stanowi samolną formę zbiorowego życia człowieka, zawierającą w sobie nowe niewyżyskane możliwości uspołecznienia człowieka.

V.

W związku z przedstawioną techniką pedagogiczną socjalizmu zupełnie inaczej przedstawia się problemat upowszechnienia kultury. W pedagogice personalistycznej można było mówić o upowszechnieniu kultury, ponieważ kultura była pojmowana jako system wiecznych wartości, jako autonomiczne, obiektywne dobro, którego odbiorcą jest indywidualna osobowość. Problem oświatowy sprowadził się do liczbowego zagadnienia udostępnienia kultury jak największej ilości ludzi.

Inaczej rzecz się przedstawia z punktu widzenia pedagogiki socjalizmu. Socjalizm, pojmując naukę i w ogóle kulturę jako wartości społeczne, widzi kulturę w historycznej postaci, zróżnicowanej zależnie od stanowo-klasowej struktury społeczeństwa.

Z punktu widzenia socjalizmu w jego postaci najbardziej wypracowanej, jaką przedstawia marksizm, zarówno tworzenie kultury, jak i konsumowanie kultury jest ściśle uwarunkowane przez stan społeczny. Tworzenie i konsumowanie kultury odbywa się w ramach zbiorowego życia określonego typu. Ani twórca kultury, ani jej konsument nie jest człowiekiem abstrakcyjnym, lecz szlachcietem lub mieszczańinem, chłopem lub robotnikiem. Człowiekiem w ogóle jest on tylko o tyle, o ile już istnieje historycznie wytworzona społeczność i kultura ogólnoludzka, której jednostka czuje się uczestnikiem. Krytykując Feuerbacha, Marks pisał: „Istota ludzka nie jest żadną abstrakcją, tkwiącą w poszczególnych jednostkach. Jest ona w swojej rzeczywistości całokształtem stosunków społecznych...”

Z socjalistycznego punktu widzenia demokracja kultury nie oznacza więc jej mechanicznego upowszechnienia. Oznacza nowy typ człowieka, nowy rodzaj wartości kulturalnych dominujących w społeczeństwie, i nowy układ grup społecznych. Aristokratyczna kultura nie ulega demokracji przez to, że się ją upowszechnia. Ona w ogóle do upowszechnienia nie nadaje się. Demokracja kultury może się dokonać w procesie uaktywnienia kulturalnego szerokiej mas, które wyrazi się równocześnie w tworzeniu nowych wartości kultury, no-

wego typu człowieka i nowego układu grup społecznych.

Jakkolwiek grupa społeczna odgrywa istotną rolę w pedagogice socjalistycznej, to nie jest ona traktowana jako czynnik wychowawczy samolśny. „Życie społeczne jest z istoty swej praktyczne” — pisał Marks. Z punktu widzenia marksizmu grupy społeczne kształtują się w związku z techniczną-cywilizacyjną aktywnością ludzi, skierowaną na materialne środowisko życia. Dlatego też z punktu widzenia marksizmu pełna demokracja jest możliwa na najwyższym poziomie technicznym, w ramach społeczeństwa, które rodzi się z nowoczesnej techniki.

Stanowisko marksizmu zbiega się ze stanowiskiem socjologii naukowej o tyle, że socjologia wychodzi z założenia, że mechanizm kultury nie można zrozumieć, nie biorąc pod uwagę grupowego życia ludzi i człowieka jako członka grupy społecznej. Twierdzenia marksizmu co do ostatecznej istoty człowieka i społeczeństwa, wykraczają jednak znacznie poza stan naukowej wiedzy o człowieku i społeczeństwie. Gdy socjolog przyjmuje tezę (która nie jest zresztą powszechnie przez socjologów przyjmowana), według której nie ma człowieka, lecz tylko są członkowie różnych grup społecznych, to ta teza dla naukowego myślenia socjologicznego jest tezą metodologiczną, a nie metafizyczną — jest ona hipotezą roboczą. „Nieuznawanie poglądów ostatecznych — jak słusznie pisał Bertrand Russell — stanowi istotę naukowego ducha”.

VI.

Socjologia nie może więc zastąpić praktycznej filozofii społecznej, jakiej potrzebuje wszelki ruch społeczny i wszelki system wychowawczy. Czasy, w których zachwiała się całość historycznie ukształtowanego społeczeństwa, wymagają poglądu na całość spraw społeczeństwa i na całokształt metod społecznego działania.

Stan dezorganizacji i chaosu lat międzywojennych pogłębił się jeszcze wskutek wojny, a klasa militarna hitlerysty nie oznacza, że zniszczony został bakteriotwórczy proces hitlerysty.

Nie jest rzeczą przypadkową, że nowa technika pedagogiczna, która z całą świadomością traktuje grupę społeczną, a nie jednostkę, jako podstawowe narzędzie wychowania, rodzi się na naszych oczach. Jest ona odpowiedzią na społeczne konsekwencje kapitalizmu, które w naszych czasach występują w całej jasności. Konsekwencje polegają na tym, że kapitalizm stworzył technicznie-gospodarcze warunki powstania nowych form uspołecznienia, ogarniających wielkie zbiorowości. Tych form uspołecznionego życia jednak nie wytworzył, a równocześnie w znacznej mierze zniszczył dawne formy społeczne zbiorowego życia. Kapitalizm zdeorganizował rodzinę i lokalną społeczność sąsiedzką i wytworzył wielkie skupienia przemysłowo-miejskie, które nie stanowią całości społeczno-moralnych, lecz zdeorganizowane masy ludzkie. W takim stanie dezorganizacji trudno przewidzieć w jakim momencie ujawni się nowy ruch faszystowski. W warunkach dezorganizacji i chaosu społeczeństwa wielokapitałistycznego takie niebezpieczeństwo jest stale aktualne. Czy liberalizm jest przygotowany na przeciwstawienie się temu niebezpieczeństwu? Czy wolność człowieka jest gotowa do swojej obrony? Czy może być wątpliwość co do środków obrony?

Stawiając te pytania, socjolog Mannheim odpowiada, że przeciwko masowej dezorganizacji społeczeństwa, zagrażającej wolności, może być tylko masowa organizacja obrony. Organizacja ta musi obejmować przede wszystkim młodzież. I co najważniejsze obrona może być skuteczna pod warunkiem, że będzie miała charakter ofensywy na bezplanowe społeczeństwo kapitalistyczne. Demokracja, która by się tylko chciała ograniczyć do obrony przed skutkami dezorganizacji nie ma szans zwycięstwa. Zwyciężyć może tylko „demokracja wojująca”, mająca za cel nowe bardziej uspołecznione i planowe formy organizacji wielkiego społeczeństwa i dysponująca swoją filozofią społeczną. Z tego zaś wynikają konsekwencje dla samej wolności. Zwyciężyć może tylko taka wolność, która w obliczu wielkich zadań ludzkości potrafi sama narzucić sobie dyscyplinę i ograniczyć samą siebie.

*) W. Lenin: Dzieła wybrane w dwóch tomach, t. II, cz. II, str. 330-333.

**) K. Marks: Dzieła wybrane, 1941, t. I, str. 421.

CELINA BOBIŃSKA

REWOLUCJA KLASYCZNA

KTÓŻ z zachodnio-europejskich obserwatorów miał ujrzeć w brodatym, odzianym w kożuch lub szynel bohaterze rewolucji październikowej, przemawiającym z carskiej loży, zwiastuna owego, w marzeniach idealistów, pięknie wyczelowanego socjalistycznego świata.

Mieszczanin był powszechnie zaniepokojony tym, że szary człowiek wstąpił na trybunę, że nie było w tej rewolucji swojej rewolucyjnej hierarchii, która miała miejsce w poprzednich przewrotach. Niepokojący był brak granicy między tłumem a wodzami.

Rewolucja Październikowa, tak oryginalna w swym przebiegu, tak trwała w swych skutkach ustrojowych i gospodarczych, ujawniła swą niespożytość w ostatniej wojnie. Jednakże właśnie w Polsce rewolucja sowiecka dotąd jeszcze nie zdobyła sobie prawa na to, aby stać się obiektem poważnych studiów.

Przez 20 lat autorzy w rodzaju Kucharskiego hipnotyzowali nas widmem „czerwonego imperializmu”, „czerwonego caratu”. Straszono nas rewolucyjnym kataklizmem. A przecież właśnie radykalizm i głębokość przemian sowieckiej rewolucji usuwa konieczność takich samych gwałtownych przemian

w pobliskich krajach, stwarza dla nich pewne warunki łagodniejszego rozwoju społecznego. Podobnie w swoim czasie gwałtowne, bezkompromisowe koleje mieszczańskiego przewrotu we Francji, promieniując na Europę, umożliwiły mniej radykalny, bardziej łagodny rozwój kapitalistycznych form życia w szeregu krajów.

SKUTKI OPÓZNIENIA.

Rewolucja sowiecka różni się zasadniczo od innych rewolucyj. W jej szerokim łóżysku zwały się dwa nurty: nurt rewolucji mieszczańskiej, burżuazyjno-demokratycznej i nurt rewolucji socjalistycznej.

Nie da się wypadków 1917 r. w dalekiej Rosji oderwać od ogólnego biegu dziejów. Wypadki te były historyczną konsekwencją szeregu mieszczańskich rewolucyj w innych krajach. Rewolucja sowiecka była wnioskiem i podsumowaniem ich doświadczeń.

Lecz rewolucje 1917 r. musimy przede wszystkim rozpatrywać na tle właściwości historycznego rozwoju Rosji, na tle opóźnienia tego rozwoju, na tle zasadniczego faktu, że do początku XX wieku nie urzeczywistnił się tam jeszcze przewrót mieszczański.

W czasach gdy Europa i Ameryka były już par excellence burżuazyjnymi i brały grube procenty za swój osiemnastowieczny „Sturm und Drang”, wtedy to na schyłku XIX w. postępowi radykalni ludzie w Rosji rozmyślali nad tym, czy czasem Rosja w ogóle nie minie się z kapitalizmem.

Przewrót, o urzeczywistnienie którego walczyli jeszcze dekadryści, żądał na siebie czekać bez mała 100 lat.

Rosja Carska w zaraniu naszego wieku przypominała stajnię Augiasza przed wielką czystką. Nowe formy życia nawarstwiały się na stare, piętrząc sprzeczności, które groziły rozwiązaniem w wielkim wybuchu.

Paleologue, poseł francuski w Petersburgu w swych pamiętnikach, pisał prawie że w przededniu tej rewolucji:

„Gdy zastanawiam się nad tym co w rosyjskim ustroju społecznym i politycznym jest archaicznego, zacofanego, prymitywnego, takiego co przeżyło samo siebie, często mówię sobie: taką też byłaby Europa, gdyby u nas w swoim czasie nie było odrodzenia reformacji, Rewolucji Francuskiej”.

A więc Rosja XX w. była organizmem schorzałym, cierpiącym na nadmiar feudalizmu, na zahamowanie prze-

wrotu mieszczańskiego, który w swych zasadniczych składnikach gospodarczych i społecznych już dojrzał. Diagnoza Lenina brzmiała: „Rosja cierpi na niedostateczność kapitalizmu”. Stosunki społeczne i gospodarcze były zamulone średniowieczem. Schorzenie przejawiało się w zaburzeniach, wielkich kontrastach społecznych, w niedowładzie politycznym i wojennym. Był to ciągle jeszcze kraj z bajki o głupim i wszechwładnym wschodnim królu, a jednocześnie był to kraj, gdzie w morzu pańszczyźnianej niewoli i zacofania, jak wyspy wyrastały ośrodki przemysłowe o najwyższym w Europie stopniu koncentracji. Wieś była jeszcze mocno uwikłana w feudalne zależności od obszarnika, a już wrzała w miej glucha walka innego pochodzenia, pochodzenia kapitalistycznego, — walka między nędzą w brzoźowych łapciach i wiejskim przedsiębiorcą w chromowych butach i błyszczących kaloszach.

Robotnik w fabryce, właściwie pozbawiony był obywatelskiej swobody, którą posiadał w innych krajach. Był on traktowany po pańszczyźnianemu, nekany przez masę różnych przymusów. W sumie zaś stanowił on klasę robotniczą, o najwyższym w Europie wyrobieniu politycznym. Gdyż same warunki bytu stawały przed nim koniecznością ciągłej zorganizowanej rewolucyjnej walki o elementarne prawa demokratyczne.

PRÓBA GENERALNA.

Dwuletni okres rewolucji 1905 r., gdy do walki były wciągnięte wszystkie warstwy przemysłowego proletariatu, a dwory pańskie w wielu guberniach stały w płomieniach, Lenin nazwał „próbą generalną” rewolucji 1917 r. W próbie tej ujawnił się jedyny w swoim rodzaju podział ról między uczestnikami dramatu, podział charakterystyczny dla rosyjskich rewolucji XX wieku.

Jak w końcu XVIII w. we Francji rzemieślnicy, chłopcy i wyrobniacy walczyli o republikę i ziemię, tak też i w 1905 r. lud walczył o wielkie demokratyczne wartości — o ziemię dla chłopów, o republikę, o 8-godzinny dzień roboty. Wbrew przyjętemu pogładowi rewolucja 1905 r. nie była rewolucją socjalistyczną. Nie wysunęła ona żadnego z wielkich socjalistycznych haseł. Na sztafardach wypisane były tylko podstawowe cele mieszczańskiej demokracji. Nie przypadkowo jednak powstał błędny pogląd, że rewolucja 1905 r. była zjawiskiem tego samego typu co rewolucja październikowa 1917 r. Błąd ten spowodowało zewnętrzne oblicze rewolucji. Gdyż jej najaktywniejszym uczestnikiem był robotnik i on to zabarwiał rewolucję swymi surowymi metodami walki.

W obozie rewolucji nie widać było mieszczańskich partii i mieszczańskich działaczy. Okazali się oni po stronie caratu, natomiast zapalał, porywał, wytykał drogę rewolucyjnej wsi robotnik wielkiego przemysłu, metalowiec, włóknianiarz i jego partia. Robotnik walczył z obszarniczą hegemonią, walczył o demokratyczną republikę jak umiał — a więc strajkiem, barykadą, powstaniem.

Rewolucja ta upadła nie nie urzeczywistniwszy ze swych wielkich haseł. Jak gdyby sytuacja pozostała bez zmiany: Rosja, pokryta szubienicami, nadal stała przed historyczną koniecznością demokratycznego przewrotu. Zmiany jednak były i polegały na tym, że rozwiane zostały iluzje i zerwane maski. Uczestnicy historycznego dramatu odegrali przed narodem swe prawdziwe role, — burżuazja i jej partie — rolę czynnika antyludowego, reakcyjnego, wrógię głębokim przemianom; proletariat — rolę przodującą w narodzie.

Gdy w marcu 1917 r. wybuchła druga burżuazyjno - demokratyczna rewolucja, walka znów odbywała się o to samo co przed 12-tu laty. Tylko obok starych haseł: „ziemi!”, „republiki!” wykwitło nad ulicami miast nowe powszechne wo-

ROZMAITOŚCI

W SPRAWIE PEWNEGO OŚWIADCZENIA

Jan Nepomucen Miller ogłosił w Nr. 1 „Warszawy” z dnia 12.1.47 oświadczenie, w którym mówi, iż nie ma zamiaru polemizować z ocenami jego wystąpień na II Zjeździe ZZLP. Dotyczy to artykułów sprawozdawczych w „Kuźnicy” i „Odrodzeniu”.

Nadto pozwala sobie dodać pod adresem kolegi Pawła Hertza podający w wątpliwość szczerść jego postawy ideowej passus:

Ustęp ten zawiera obelgę niegodną człowieka kulturalnego, w treści swej zaś jest podłym oszczerstwem naruszającym dobre imię brutalnie napadniętego. Tą stroną sprawy zajmie się sąd koleżeński.

Ja chciałbym powiedzieć natomiast to, co należy — ad meritum.

Ruch kulturalny lewicy w Polsce jest dziś szczególnie żywy i atrakcyjny. Wystarczy proste porównanie poziomów intelektualnych i artystycznych naszych pism, porównanie wagi poruszanych zagadnień, stwierdzenie kto inicjował elektryzującą całą prasę dyskusje (sprawa młodzieży i szkoły, sprawa inteligencji, sprawa obowiązków moralnych pisarza itd.), by każdy nieuprzedzony czytelnik mógł poprostu stwierdzić, że lewica intelektualna skupiła dziś znakomitą większość tegich umysłów i piór literackich, jest właściwym podmiotem kształtującym całość naszego życia literackiego, decydującym o jego kierunku i rytmie rozwoju. Złożyło się na to wiele obiektywnych historycznych przyczyn. Podkreślę tu dwie:

1) Postępowość intelektualna klasyczne go marksizmu, właściwego, choć nie zawsze do głębi i dobrze przyswojonego, fundamentu teoretycznego ruchu lewicy w Polsce. Miałem możność parokrotnie pisać jak twórczo i nowatorsko potrafi klasyczny marksizm rozwiązywać te problemy, które przed naukami humanistycznymi stanęły dziś w rezultacie pogłębienia poszukiwań empirycznych i osiągniętego stopnia krytyki idealistycznych teorii kultury: zarówno pozytywistów-naturalistów, jak i antypozytywistów z pod znaku t. zw. „nauki o duchu”, fenomenologii, formalizmu w socjologii i wiedzy o ideologiach społecznych. Historia umysłowa ostatnich 50 lat dobrze tłumaczy przyczynny zwrot do klasycznego marksizmu jako podstawy, dobrze tłumaczy dlaczego sięgają tam po prostu twórcy, krytyczni uczeni i szukający prawdy pisarze a nie wyłącznie politycy socjalistyczni rzekomomi „skostniałymi doktrynerstwem”.

2) Wojna z faszyzmem i wcześniej jego triumfy nauczyły inteligencję wiele. Pisa-

łem o tym parokrotnie („Ze wspomnień polskiego inteligenta” i wcześniej), pisał K. Brandys („Faszyści”, w „Odrodzeniu”, „Przyjaciele z Kuźni Młodych”), pisał prof. Chałasiński (choćby „Pedagogika personalizmu i pedagogika socjalizmu”, oraz artykuły o inteligencji). Myślę, że dostatecznie tam uzasadniło się dlaczego inteligent na prawdę pragnący bronić kultury, dorobku ludzkości, inteligent z sumieniem społecznym, z prawdziwym poczuciem odpowiedzialności i konsekwencji swoich ideałów w działaniu musiał stanąć na lewicy, po stronie sił naprawdę walczących z faszyzmem, porzucić postawę zamaskowanej kapitulacji wobec przemocy barbarzyństwa.

Nigdy nie ukrywaliśmy, że większość lewicowych inteligentów walczących dziś także w szeregach grupy „Kuźnicy” — była kiedyś po drugiej stronie barykady. Wiedzą o tym władze obu partii robotniczych, pisaliśmy o tym wielokrotnie, pamiętają to przyjaciele, a często przypominali lojalni zresztą przeciwnicy. I niżej podpisany koło dwudziestego roku życia był w faszyzmskiej sanacyjnej organizacji. Nie potrzebuję uczciwym ludziom dowodzić, że wtedy wydawało się mnie i moim kolegom z „Legionu Młodych”, że robimy najlepszą rzecz dla Polski, jaką można zrobić. Rozpędzono nas po paru miesiącach od dnia wstąpienia do organizacji. Na tę ostatnią zbiorczą na Nowym Świecie bractwo przyszło z czerwonymi podkładkami pod znaczki. Policja przyszła z pałkami i hydrantem. Potem szukało się słusznej drogi politycznej już gdzie indziej.

Pomawianie oszczerce ludzi obecnej lewicy o karierowiczowskie zmienianie poglądów jest niegodne pisarza polskiego i uczciwego polemisty. Zmienialiśmy poglądy jak większość tragicznej, oszukanej przez historię i siły wsteczne, złąkanej inteligencji. I wara robić nam z tego tytułu zarzuty. Potrafiliśmy szczerść naszych przekonania zaświadczyć służbą w Armii Ludowej, w I Dywizji, w Wojsku Polskim.

I właśnie Paweł Hertz dostatecznie wyśoki funkcjonariusz „londyńskiej” Ambasady w Azji Środkowej w tragicznym okresie odwrotu, przed Stalingradem, nie poszedł drogą haniebną Andersa. Wrócił do kraju jako oficer I Armii WP.

Zgodnie z naszym stanowiskiem nie wspominać przeszłości nikomu kto dziś zajmuje słuszną, postępową stanowisko. A takich powtarzam wśród inteligencji jest wielu.

Atakujemy p. Millera nie dlatego, by przypodobać się rządowi. Rząd polski nie

myśli o panu Millerze. Niewiele go p. Miller i jego poglądy obchodzą.

W środowisku pisarzy natomiast pan Miller korzysta z jakiejś prawem kaduka przypadłej mu maski lewicowca.

Tymczasem referat jego na II Zjeździe ZZLP:

1) głosił wsteczny regionalizm kulturalny.

2) głosił wsteczny ideał samorodnej, spontanicznej kultury, nie kierowanej przez dojrzałą, rozumną teorię.

3) głosił wsteczny program kultury na miarę zastanej dojrzałości mas polskich, a nie program dźwignia tych mas po przez instytucje kulturalne na poziomie dojrzałości historycznej najbardziej przodujących kultur ludzkości.

Z tym programem lewica walczy i będzie walczyć.

Sprawozdania kol. kol. Hertza i Matuszewskiego w niczym nie obrażały p. Millera, były ścisłe, rzeczowe, oparte na stenogramach. Polemizowały merytorycznie ze stanowiskiem referatu.

Wspomniany przez p. Millera w jego oświadczeniu feljton kol. Rojewskiego — był swobodną impresją satyryka i rzeczywiście do dyskusji naukowej się nie nadaje. Wymienianie go jako pracy tego samego rodzaju co artykuły Hertza i Matuszewskiego jest nadużyciem intelektualnym.

Działalność literacką J. N. Millera w obecnej dobie należy ocenić jako bezwzględnie wsteczną. Trzeba ją zwalczać. To robimy i będziemy robić. Temu nie przeszkodzi ani brak merytorycznych argumentów w wystąpieniach p. Millera, ani jego ordynarne i oszczercze napasły.

A jeśli p. Miller stał się od pewnego czasu ulubieńcem działu not, spowodował to wyłącznie komizm jego wystąpień, spełniając bowiem rolę miniaturowego „biesa” drobnomieszczańskiego jest jednocześnie p. Miller bezradnie śmieszny w swoim kulturalnym opóźnieniu i całkowitej jałowości krytycznych pomysłów.

Stefan Żółkiewski

Do Redaktora „Kuźnicy”

W związku z oszczercem oświadczeniem p. Jana Nepomucena Millera, zamieszczonym w piśmie literackim „Warszawa”, komunikuję, iż sprawę przekazałem Sądowi Koleżeńskiemu przy Zarządzie Głównym ZZLP.

Paweł Hertz

ianie narodów cesarstwa: „pokoju”. Wojna jątrzyła wszystkie stare bolączki i konflikty.

Dlaczego po 8 miesiącach zawrotnego rozwoju wypadków, których starczyłoby na „normalne” stulecia, rewolucja burżuazyjno-demokratyczna zakończyła się socjalistycznym przewrotem, znoszącym własność prywatną na warsztaty produkcji, — ukazując bezprzykładne, jedyne w swoim rodzaju koleje przemian?

W 1917 r. Rosja była dojrzała do Rewolucji niż przed 12 laty: o 2 lata walk rewolucyjnych, o późniejsze lata reakcyjnego terronu, o wojnę, której naród nie chciał i której próbował zapobiec, budując barykady na powitanie Poincaré w 1914 r.

To też w marcu 1917 r. starczyło tygodnia na obalenie caratu, czego poprzednio nie dokonały 2 lata rewolucji. Władzę wywalczoną na ulicach Piotrogradu przez żołnierzy i robotników objął rząd tymczasowy a la Lamartine z dużą poprawką na reakcyjność rosyjskich liberałów. Wszystko układało się jak gdyby zupełnie „normalnie”, jak i w poprzednich „przwytych” rewolucjach.

Lecz, co już podkreślaliśmy, rewolucja rosyjska była dojrzała od poprzednich rewolucyj o całą epokę kapitalistycznego rozwoju, o gorzkie doświadczenie europejskiej i rosyjskiej klasy robotniczej. Nie miała ona nawet owego zewnętrznego uroku ostatecznej walki o prawa człowieka. Nie sentymentalne idee Rousseau jej przyświecały a bełkotny sceptycyzm Marksa, stwierdzający, że rewolucja mieszczańska niesie nowe formy wyzysku.

To też w miarę rozwoju demokratycznej rewolucji rosła przepaść między burżuazją rosyjską a narodem. Z każdym krokiem rewolucji, burżuazja robiła krok na prawo, a masy krok na lewo.

Kapitałiści, objawszy władzę, uważali rewolucję za skończoną. W masach zaś zbierało przekonanie, że walka o ziemię dla chłopów, o demokratyczną republikę, o pokój — dopiero się rozpoczyna. I wyrazem tego odmiennego ludowego poglądu na rewolucję były Sowiety, rady delegatów robotniczych i żołnierskich — a żołnierz przeważnie był chłopem w szynelu. Ta druga władza odpowiadająca dążeniom mas, jego pojęciem o ludowej demokracji, reprezentowała rewolucję, rozwijającą się, tak samo jak w 1791 r. rewolucję postępującą reprezentowali Jakobini, a w 1793 r. komuna Paryża.

We Francji na schyłku XVIII w. i w Rosji w XX w. rewolucji mieszczańskie charakter ludowy, demokratyczny nadawał nurt chłopski. Rewolucja mieszczańska obalająca prawne i polityczne instytucje feudalizmu była tylko w tej mierze demokratyczna, w jakiej walka chłopstwa o likwidację ekonomicznej i politycznej twierdzy feudalizmu, o nowe formy własności i produkcji przeorywała stosunki agrarne. Realne rezultaty rewolucji mieściły się w tym, o ile i w jakim stopniu urzeczywistniał się zasadniczy cel każdej mieszczańskiej rewolucji, — uczynienie z chłopca wolnego właściciela ziemi, właśnie dlatego rewolucje Francuską XVIII w. i Rosyjską XX w. nazywamy burżuazyjno-demokratycznymi, masy nadały im rozmach społeczny, zabarwiały je swymi dążeniami i stwarzały owa wspaniałą siłę poruszonych milionów.

Zagadnienie agrarne, jako zasadnicza sprawa demokratycznej rewolucji, specjalnie uwypuklało się w Rosji chłopskiej i pańszczyzniano-obszarniczej.

Od wielkiej wojny chłopskiej Pugaczowa w XVIII w. datowała się walka rosyjskiego chłopca o ziemię. Pokonane w wojnach chłopskich i dziesiątkach mniejszych powstań, oszukane w reformie rolnej w 1861 r. i tak ciężko doświadczony w rewolucji 1905 — 1907 roku — stumilionowe chłopstwo, uparczywie parło do całkowitego „czornowo pieredziela”, t. zn. do podziału ziemi obszarniczej. Bogate w rewolucyjne doświadczenie szybko chwytało się ono środków rewolucyjnych.

Jeśli spojrzymy na okres od marca do listopada 1917 r. pod kątem widzenia

sprawy chłopskiej ujrzymy, jak w miarę pogłębiania się rewolucji agrarnej, w miarę zaostrzenia się walki chłopskiej o ziemię, rewolucja zdobywała szerszy fundament ludowy, dając potężne oparcie przemysłowemu proletariatu w jego dążeniu do radykalnych przemian. Właśnie na największej fali powstań przeciwko obszarnikom, gdy powstania te załamywały całą Rosję, zwyciężył przewrót październikowy.

Aby zdać sobie sprawę dlaczego tak się stało, uprzytomnijmy sobie, że tak samo jak rewolucja rozpoczęła w 1789 r. w sali „do gry w piłkę”, spełniła swe zadanie dopiero wtedy, gdy rękami Jacobinów zaspokoila chłopca, tak samo, dopiero rewolucja październikowa swym sławnym „dekretem o ziemi” doprowadziła do końca demokratyczną rewolucję rosyjską. Dekret ten oddając chłopom bezpłatnie całą ziemię obszarniczą i kościelną, rozwiązywał kwestię rolną w sposób tak radykalny, jak żadna rewolucja przedtym.

Nie przypadkowo chłopstwo rosyjskie szukało sobie sojusznika i kierownika w proletariacie. Na tę drogę kierowało go gorzkie doświadczenie polityczne, poczynając od reformy 1861 r. — doświadczenie zdrady sprawy chłopskiej przez liberałów. Na tę też drogę kierowało go codzienne doświadczenie odbywającej się rewolucji.

Gdy w 1917 r. chłopcy podjęli walkę o ziemię, wszystkie „rządy tymczasowe” poczynając od rządów księcia Lwowa, do rządów Kiereńskiego, broniły „prawządności”, jak niegdyś carat — przy pomocy ekspedycji karnych.

Lecz wbrew „rewolucyjnym rządóm” rewolucja miast i wsi pogłębiała się.

Od przewrotu lutowego, poprzez groźne demonstracje kwietniowe i majowe, w strajkach robotniczych i w powstaniu lipcowym, w żywołowym dzieleniu ziemi przez chłopów, — masy żądały istotnie demokratycznej polityki: ziemi dla chłopów, ustawodawstwa robotniczego, pokoju dla wszystkich.

OD REWOLUCJI DEMOKRATYCZNEJ DO SOCJALISTYCZNEJ.

Po upływie 7 miesięcy drugiej rewolucji ogromny kraj wciąż jeszcze wołał o pokój, o ziemię, o republikę. Gdyż — paradoksalnie! — w 7 miesięcy po obaleniu caratu republika nie była jeszcze proklamowaną. Rewolucja wstrząsająca 6-tą częścią świata istniała niejako nielegalnie, potępiana przez polityków, jej zawdziejających władzę, i od lipca 1917 r. aktywnie prześladowana.

„Nielegalnie” chłopcy dzielili ziemię, „nielegalnie” działała jedyna partia, która podjęła się prowadzić rewolucję naprzód — partia bolszewików. Lecz tym nie mniej ta „nielegalna rewolucja” śmiała rozwijać się wbrew tym, którzy uważali ją za skończoną.

Wszystkie mieszczańskie i drobnomieszczańskie partie walczyły na każdym kroku o utrzymanie pozycji „starego porządku”, widząc w nich hamulec przeciwko dążeniom mas. Obóz jawnej reakcji rozszerzał się, wchłaniając z początku kadetów, potem eserów i mieniszewików.

Osiem miesięcy rewolucji było dla mas szkołą doświadczeń i rozezarań. Masy wypróbowały różne partie płowiejące szybko w rewolucyjnej temperaturze, szukając sobie kierowników w drodze ku konsekwentnym przemianom.

Była tylko jedna partia, która dążyła naprzód, a nie wstecz. Stronictwo to ustami Lenina, jego prostym przejrzytym językiem wskazywało jak wbrew próbom ratowania strzępów carskiej państwowości, „stworzyć państwo, które się nie boi w sposób rewolucyjny urzeczywistnić całkowity demokratyzm”. Program tego stronictwa był jedynym codziennym, naocznym, wielanym w życie przez tych, co go głosili. Jego zasadą było głębokie zaufanie do intencji szarego człowieka. Każdy robotnik i chłop odnajdywał tam swe dążenia i ideały.

Lenin mówił chłopom, że jeśli rząd burżuazyjny ziemi nie daje, to trzeba ją brać i dzielić w sposób zorganizowany, przez komitety chłopskie. Mówił robotnikom, że jeśli rząd nie daje ośmio-

godzinnego dnia roboczego, to prawem rewolucji, faktu dokonanego, należy go wprowadzać przez kontrolę robotniczą. Lenin głosił natychmiastowy pokój i na woływał żołnierzy do czynnej, antywojennej postawy. Na jego wezwanie zrozpaczeni, zawsznieni żołnierze, w mokrych, gnijących szynelach, tworzyli rewolucyjne komitety żołnierskie.

Wódz bolszewików był największym realistą swych czasów.

Lenin mógł pokierować żywiołowym ruchem mas dlatego, że wysnuwał wnioski formułował nowe etapy, nowe zadania, trzymając rękę na pulsie tego ruchu. Polityka jego ugruntowana była jedynie na realnej analizie rozwoju trzech zasadniczych fal rewolucji: robotniczej, chłopskiej oraz żołnierskiej i na analizie sytuacji, w której one działały.

Jeszcze na wiosnę Lenin wielokrotnie twierdził, że postępować naprzód bolszewicy powinni tylko „w miarę dojrzenia i wzrostu świadomości mas”. Forsowanie rewolucji, odrywanie jej od szerokiej bazy społecznej, wysuwanie celów niezrozumiałych dla mas groziło, według niego, zejściem na manowce. Czujny i cierpliwy wobec nastrojów wielkich mas ludzkich, prowadził Rosję, kraj zacofany, zdesperowany i skołowany ku realizacji marzeń wielkich utopistów — ku przewrotowi socjalistycznemu.

Dla Lenina nie było nie przypadkowe, że w tym jedynym w historii wypadku, gwałtownego przeistoczenia rewolucji burżuazyjnej w socjalistyczną. W ciągu długich dziesięcioleci Lenin upewnił się, że taki rozwój rewolucji będzie konsekwencją historycznych procesów odbywających się w Rosji. Jego plan miał na względzie jedno: nie zmarnować wielkich szans historycznych.

Zgodnie z przewidywaniem Lenina klasa robotnicza dla zrealizowania dążeń demokracji miast i wsi musiała wystąpić przeciwko partiom mieszczańskim, przeciwko Milukowowi i Kiereńskiemu, przeciwko zasadom liberalnego parlamentaryzmu, który w czasie krótkiej praktyki burżuazyjnych rządów zo stał shanbiony i skompromitowany w oczach mas.

„Rządy tymczasowe” nie stworzyły żadnych kadr republiki. Eserowcy, adwokaci i kadecy profesorowie pozostawili cały carski aparat z jego formalnym zacofaniem, skostnieniem, hierarchią niewolniczego ustroju. Nie skasowano nawet tytułów i orderów carskich. Carat faktycznie przetrwał do przewrotu listopadowego w najgroźniejszym — w biurokracji. Straszyla ona w całej swej okazałości w ministerialnych apartamentach.

Ten, kto w takich warunkach brał na swe bary dzieło demokratycznej rewolucji, podejmował straszliwie ciężkie zadanie — powetowania wieków. Zgągnowane było wszystko, co stanowiło przeszłość Rosji. Carat i Duma, liberalne przybudówki i liberalni politycy. Należało przeciwstawić temu zupełnie nowy organizm — władzę ludową. Takim organizmem były Sowiety.

Sowiety przechodziły te same koleje, co i rewolucja. Na ostatnim „dziewiątym przyboju” rewolucji, jesienią 1917 roku, na fali powszechnej rewolucji chłopskiej, powszechnych strajków i powstań narodowych, widzimy już inne Sowiety niż na wiosnę — Sowiety bolszewickie, zdecydowane na przeprowadzenie powstania zbrojnego, Sowiety świadomie łączące cele burżuazyjnodemokratyczne z celami socjalistycznymi.

COBLENCJA I SANS CULOTTES

Podczas samego przewrotu październikowego w Piotrogradzie rewolucja miała w zapleczu niemiecką ofensywę. Lenin wyczuwał wtedy sojusz Niemców i Kiereńskiego przeciwko rewolucji. Zdobyte później dokumenty dowiodły, że armia niemiecka miała zająć Piotrograd, aby pomóc reakcji rosyjskiej zdławić rewolucję. Rewolucja była więc i wielkim aktem patriotycznym, gdyż uratowała Rosję od rządów zdrajców i od niemieckiej okupacji.

Pięcioletnia wojna domowa, rozpaczliwa walka z interwencją była obroną rewolucji i obroną niepodległości Rosji

przed sprzymierzonymi siłami wrogięgo najazdu i kontrrewolucji.

Koblencją zwał się ten charakterystyczny sojusz we Francji, targowicą u nas. Miał on miejsce i w historii sowieckiej rewolucji, świadcząc jeszcze raz, że reakcja społeczna nieuniknienie stacza się do zdrady narodowej.

Rewolucja październikowa będąc patriotyczną, była jednak antyszowinistyczną. Obroniła ona Piotrograd od Niemców i jednocześnie w sposób prosty rozcięła węzeł narodowy cesarstwa, jasno rozwiązała sprawę, której nie mogły rozwiązać rządy imperialistyczne Mikołaja, czy Kiereńskiego.

Robotnicy Piotrogradu czy Moskwy, chłopcy z Uralu czy Wolgi nie mieli żadnego ekonomicznego i politycznego interesu w gnębieniu Polaków, Łotyżów, Ukraińców i innych narodów. — „Szary człowiek” nie był szowinista. — Robotnicy byli naogół zawsze najmniej zarażeni szowinizmem. Nie więc dziwnego, że właśnie rewolucyjny, robotniczo-chłopski rząd Rosji rzekł się dobrowolnie panowania nad innymi narodami, że właśnie ten rząd przekreślił zabór Polski, stwarzając sytuację polityczną, umożliwiającą nam odbudowanie niepodległości.

Rewolucyjny naród otoczony zewsząd przez nowoczesne armie interwencji, nekany przez „kontrrewolucyjną „Wandę” wewnątrz kraju, stojący wobec widma śmierci głodowej, obuty w łapcie i uzbrojony w dubeltówki na sznurku, zwyciężył w pięcioletniej walce z armią mi 14-tu interwencji.

Ale też była to jedyna rewolucja, w której realizowały się całkowicie i namacalnie dla mas hasła, pod którymi masy te walczyły. Stąd siły wydobycie przez rewolucję w obronie jej zdobyczy były niebywale.

„Miliony uśpionych przez setki lat obudziły się do świadomego życia politycznego” — pisał Lenin. Żołnierz w łapciach był żołnierzem najwyższej klasy, gdyż był żołnierzem świadomym i ideowym. Górował on nad światłem w zbrojonym żołnierzem interwencji, tak samo, jak kiedyś francuski sans culottes pod Valmis górował nad pruskim żołdakiem, będącym ślepym narzędziem feodalnej interwencji.

JANKES I REWOLUCJA

Najlepszą książką o rewolucji październikowej jest dotąd „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem” Amerykanki John Reed'a.

Często rewolucję rosyjską opisywano jako niszczyielski i anarchiczny kataklizm. John Reed świetnie oddał konstruktywny twórczy instykt właściwy masom tej rewolucji. Wykazał on, że w posunięciach wodzów i mas w gruncie rzeczy nie było burżycielskiego zaślepienia. Rewolucja ta była potencjalnie bardziej twórcza i konstruktywna niż poprzednie, gdyż niosła w sobie zarodek nowego ustroju.

Poprzednie rewolucje, rewolucje mieszczańskie tylko legalizowały polityczne, gospodarcze i społeczne rezultaty przedsiębiorczości bourgeois. Rewolucja rosyjska niosła w sobie model nowego społeczeństwa, nowych stosunków gospodarczych, nowych sposobów wytwarzania dóbr doczesnych na podstawie uspołecznionej własności środków produkcji. Każdej niszczyielskiej akcji towarzyszyła intencja twórcza. Masy posiadały świadomość, że walczą o stworzenie podstaw do wydajnego, planowego, sensownego życia, które zmieni oblicze Rosji.

U podstaw przewrotu leżał pozytywny plan. Przyszły twórczy wysiłek opowiedziany jasno przez Lenina przyszłociał partyzantom, żołnierzom, chłopom.

To też najprostszą konsekwencją październikowej burzy było przystąpienie zaraz po tym do wypracowania i realizacji wielkich planów ekonomicznych. Przewrót październikowy, który usunął w sposób radykalny stare stosunki produkcji, stworzył podstawę do ułożenia tych stosunków w sposób nowy. — Tu tkwi sekret wielkich możliwości twórczych sowieckiego ustroju, jego sukcesów i osiągnięć w następnym 30-leciu.

Celina Bobińska

KAZIMIERZ BRANDYS

„Medaliony” Zofii Nałkowskiej

JEDNA z książek o okupacji. Ale inna niż wszystkie pozostałe. Długo zastanawiałem się nad tym, w czym tkwi owa odmiennosc tak wyrazista. Ostatnia książka Zofii Nałkowskiej („Medaliony”) składa się z ośmiu narracji. Używam tej nazwy, nie chcąc przesądzać gatunku literackiego „Medalionów” który jest czymś innym, niż nowela, opowiadanie, reportaż lub pamiętnik. W ośmiu obrazach Nałkowska ukazała obiektywny wygląd męki ludzkiej, jej stronę techniczną, jej inwentarz, jej system. „Uduszono i spalono te nieprzebrane masy ludzkie w trybie najstaranniej przemyślanej, zrationalizowanej przyspieszonej i udoskonalonej organizacji... Tak wystarczył jeden stary pałac w Chełmnie, położony na wzgórzu, z przepięknym widokiem na rozkołysanej trawami i zbożem krajobraz, jeden na pół zrujnowany spichrz, jedna w pobliżu rozległa, ściśle oparkaniona parcela młodego sosnowego lasu, by osiągnąć cyfrę ofiar sięgającą miliona”.

Pisze to ktoś, kto nie doświadczył działania obozowego systemu, ale stara się go ogarnąć intelektualnie i zakwalifikować jego funkcję w wymiarze zjawisk ludzkich. W tej książce odczuwa się wysiłek poznawczy, nakaz penetracji w najgłębsze mroki, świadomość obowiązku odpowiedzi na pytanie: jak to było? Stąd pozorny chłód „Medalionów”, ich statyczność, sugerująca wrażenie zimnego rzemiosła. Nałkowska narzuca sobie od pierwszych stron nieublagany rygor obserwacji. Empiryzm tej książki jest trudnym przeżyciem dla czytelnika; trudniejszym był zapewne dla autorki. Fakt, wygląd, aparatura, kształt, funkcja choćby najbardziej nieludzka — są tu rejestrowane niemal naukowo, sucho, beznamyślnie, odcięte od światła zgrozy czy litości. A jednak rozpacz, zgroza i litość są zawsze obecne w tych krótkich relacjach. Siła wielkiej sztuki pisarskiej sprawia, że zwięzła notatka, rzeczowy opis lub stwierdzenie wydają się tu natchnione uczuciem najbardziej ludzkim, ale opanowanym z góry przez dyscyplinę poznania.

„Leżeli jak w sarkofagach, w cementowych, długich basenach z uniesionymi pokrywami — wzdłuż, jedni na drugich. Miele ręce opuszczone wzdłuż ciała, nie złożone na piersiach według pogrzebowego rytuału. A głowy odcięte od torsów tak równo, jak by byli z kamienia. W jednym z tych sarkofagów leżał na stosie umarłych znany już „marynarz” bez głowy — młodzieniec wspaniały, wielki jak gladiator. Na jego piersi szerokiej wytatuowany był kontur statku. Po przez sylwetki dwóch kominów przechodził napis wiary daremnej: BÓG Z NAMI”.

Ten napis wiary daremnej jest jednym ze szczegółów opisu, sucho zanotowanym drobiazgiem relacji. Ale ileż w nim gorczy, protestu, rozpacz! W ostatnich czterech słowach cytatu czytelnik może ujrzeć, jak dzieją się prawa sztuki, schwytać je na gorącym uczynku. Nie wychodząc poza opis zewnętrzny, poza stwierdzenie kształtu i wyglądu — w ostatnich słowach autorka zatrzymuje się przed światem, wobec którego czuje się bezradna: przed światem cierpienia, jakie musiało poprzedzić tę kompozycję nieruchomych ciał zamkniętą w tak bezlitosym opisie.

Prawo rządzące tym obrazem jest stosowane świadomie. Występuje często na kartkach „Medalionów”; precyzyjna, zobiektywizowana relacja znajduje zamknięcie w końcowym orzeczeniu, łączącym kształt z dramatem tego kształtu, barwę z niedolą tej barwy, ostatni gest — z cierpieniem w nim zawartym.

„W rogu jednej kadzi spoczywała na wznak ta nieduża, kremowa twarz chłopca, który w chwili śmierci mógł mieć osiemnaście lat. Lekko skośne, ciemne oczy nie były zamknięte, tylko zaledwie spuszczone. Pełne usta barwy tej samej co twarz, przybrały wyraz cierpliwego, smutnego uśmiechu. Brwi równe i wyraźne unosiły się ku skroniom jakby z niedowierzaniem. Pozostawał tam w tej najdziwniejszej, przechodzącej jego kompetencję sytuacji w oczekiwaniu na ostateczne orzeczenie świata”.

Nałkowska w tej książce zakreśla sobie jak gdyby osobne dziedziny poznania i



dba, aby każda z nich została dokładnie zinwentaryzowana, zanim zapadnie sąd o całości. Pierwsza — to dziedzina rzeczy.

Umarłe ciała, ich kolor, układ, ilość. Mur ghetta, obwisły gzyms, poczerwiała firanka, suchy kwiat w doniczce, otwarte drzwi przy taniego kredensu, stojące pod ścianą pokoju wymarłej, żydowskiej kamienicy. Mechanika urządzeń obozowych, kotły, półki, baseny, naczynia. Ktoś, kto zastał aparat niszczenia już zatrzymany, kto nie oglądał go w ruchu — odtwarza szczegół po szczególe, aby ujrzeć człowieka schwytanego w jego obroty i zmierzyć ludzką mękę w świetle wszystkich realiów, jakie były jej udziałem. Nie spotkamy tu paury w opisie, poświęconej na komentarz uczucia, szczegół najbardziej okrutny nie wstrzymuje relacji — opis posuwa się krok za krokiem, wierny indukcji poznawczej, szczelny, niedostępny interpelacjom i wtrętom.

A ludzie? To dziedzina osobna. Jest ich dwa rodzaje. Ludzie tworzący system i ludzie jemu poddani.

Nikt dotąd nie opisał Niemców tak, jak to uczyniła Nałkowska w „Medalionach”. Nie spotkamy tam niebieskookich cherubów z panięńską cerą i z kańczugiem w ręku, jasnowłosych esmanów z twarzami pięknych diabłów. Maniera okupacyjnej prozy, przedstawiająca hitlerizm jako rodzaj skrzyżowania Walhalla z piekłem, została nam oszczędzona. Oto Niemcy w „Medalionach”:

„Tym razem towarzyszyło nam dwóch starszych panów. Ci, przyszedł w charakterze „kolegów” Spannera — obaj profesorowie, obaj lekarze i uczeni. Jeden wysoki, sły o twarzy szczupłej i szlachetnej, drugi równie duży, ale przytym tegi i ciężki. Jego pełna twarz wyrażała dobroduszość i jakby z troską. Ubrani byli dość podobnie i nie po naszemu, raczej prowincjonalnie — w czarne, długie wiosenne palta z dobrej wełny. Na głowach mieli miękkie, również czarne kapelusze”.

Niemcy w książce Nałkowskiej należą raczej do dziedziny rzeczy, niż zjawisk istotnie ludzkich. Opisujący są tą samą techniką rejestracji szczegółów, barwy, wyglądu. Zapewne — ci dobroduszni starsi panowie kryją w sobie straszliwe zagadki. Ale aby zbliżyć się do nich, nie ma, zdawałoby się, innej drogi niż obserwacja. Gest, głos, uśmiech, spojrzenie, intonacja — czy może to dać nam empiryczną odpowiedź na pytanie jak stało się że człowiek wytąpił na mydło i tuszcz z ciała innego człowieka? Człowiek tak podobny zewnętrznie do innych ludzi, jak pałac w Chełmnie zamieniony na katownię podobny był do innych pałaców. Oczywiście — psychologia człowieka nie da odpowiedzi na to pytanie, jak nie da jej architektura pałacu. Autorka dobrze zdaje sobie z tego sprawę.

Opis niemieckich świadków, ich zachowania się, ich zeznań spełnia tu więc rolę tę samą, co rejestracja urządzeń w syste-

mie niszczenia; co bunkier, kocioł lub tortura. Jest to dalszy ciąg procesu inwentaryzacji — człowiek jest częścią aparatu. Pytanie: dlaczego tak było? — nie jest postawione. Sprawa ogranicza się do tego, jak było. Młody człowiek, asystent prof. Spannera, zeznający przed Komisją, mówi „z namysłem poważnie i smutnie”. Jest niemal sympatyczny, trochę bezradny, „nie mający pojęcia czego od niego chcemy”. Zachwała mydło wytopione z ludzkich ciał. „Na jego chudej poobldej twarzy pojawia się uśmiech. — W Niemczech, można powiedzieć, ludzie umieją coś zrobić — z niczego...”

Czy to ostatnie zdanie, odrzucające w swym bezwiednym cynizmie, mówi cokolwiek o psychologii człowieka? Chyba to, że człowiek łatwo zatraca poczucie norm etycznych na korzyść norm organizacji, której jest częścią. Ten młodzieniec nie urodził się zbrodniarzem. Był w polskiej szkole w Gdańsku. Był ochotnikiem armii polskiej we wrześniu, harcerzem. „Na wojnie dostał się do niewoli i uciekł. Pracował na ulicy przy śniegu, potem w fabryce amunicji. Też uciekł. Rzecz na ogół dzieje się w Gdańsku. Niemiec zamieszkał u jego matki, gdy ojca zabrali do obozu koncentracyjnego. Ten Niemiec dał mu pracę w tutejszym Instytucie Anatomicznym. I tak dostał się do prof. Spannera”.

Autorka „Niedobrej miłości” i „Granicy”, odkrywczy rozległych obszarów psychologii ludzkiej staje w „Medalionach” przed człowiekiem bezradnym, pojmując jak gdyby z góry, że zagadek w tym świecie zawartych psychologia jednostki wytłumaczyć się nie da. Jest to pierwsza bodaj książka Nałkowskiej, w której człowiek nie jest penetrowany przez pisarkę, lecz tylko opisany — jak mur, pod którym się ginie, lub narzędzie śmierci. Włączony do świata realiów, spełnia tam jedno z zadań w kompozycji ponadindywidualnego dramatu, wobec którego autorka uznaje bezsilność swej dotychczasowej metody.

Oczywiście — człowiek niemiecki. Bo w „Medalionach” ukazani są i inni, ci, których technika niszczenia nie dosięgła, którzy się jej wymknęli — Polacy, ocaleni z więzień i obozów. Ale ci przedstawieni są w najprostszyszych rysach psychologii ludzkiej, jak gdyby został już z góry założony pewnik, że to, co o sobie powiedzą, nie wytłumaczy nic z tego, co się działo. Jedni mówią, że się bali; drudzy, że cierpieli, trzeci, że byli zmęczeni i głodni, inni wręcz, że chcieli poprostu żyć. Wszyscy są równie bezradni, wobec tego co było, jak ten, co patrzy na nich i notuje ich słowa. Mają tę wyższość, że widzieli, ale żadnych z tego wniosków nie potrafią wysnuć; żadnym również świadectwem nie są ich słowa, wygląd czy gesty. Opisują fakty. Nie mogą się wyrwać poza nie. Opisują uczucia — są tak okrutne jak fakty. Ale ani z faktów ani z uczuć nie wynika nic, co by pomogło zrozumieć. Nic, co ułatwiłoby

odpowiedź na pytanie: dlaczego tak było? Wszystko zamyka się nadal w odpowiedzi na pytanie pierwsze: jak było?

Najbardziej wyrazistym rozdziałem „Medalionów” jest opowiadanie p. t. „Przy torze kolejowym”. Odcina się od całej prozy okupacyjnej nie tylko formalną zwięzłością, ale przede wszystkim tym, że ukazuje najostrej dramat okupacji — bez Niemców. Raniona Żydówka, granatowy polijant, lump z małego miasteczka, trochę okolicznych gapiów — oto cała obsada dramatu, w którym ginie człowiek. Dziewczyna żydowska wyskoczyła z pędzącego pociągu, który ją wiozł na śmierć. Kula z automatu trafiła ją w kolano, jest obezwładniona. Nie może dowiec się do lasu, leży na torze, zbierają się ludzie, nikt nie chce jej pomóc. „Rozmawiali z cicha między sobą wdychali, jakos się naradzali odchodząc. Za danie pomocy lub schronienia groziła pewna śmierć. Jednego młodego człowieka, który stał dłużej, później odszedł o parę kroków i znowu wrócił, poprosiła, by przyniósł jej z apteki weronalu. Dała pieniądze. Odmówił... Leżała długo i spokojnie, oczy zbyt czarne mocno zakryła powiekami. Gdy je wreszcie odsłoniła, zobaczyła wokół siebie nowe twarze. Ale ów młody człowiek jeszcze stał. Wtedy poprosiła by kupił jej wódki i papierosów. Wyświadczył jej tę przysługę... Policjanci podeszli poważnie zobaczyć co to jest... Zażądała, by ją zastrzelili... Odeszli i oni, rozmawiając, przystając i znowu idąc dalej... Zauważyła, że poszedł z nimi ten uprzejmy młody, który podawał jej ogień do papierosów zapalniczką, nie chcąc się zapalić... Młody człowiek wrócił. Znowu popiła wódki z butelki, a on podał jej ognia do papierosa... Gdy otworzyła oczy o zmierzchu, nie było przy niej nikogo, prócz dwóch policjantów, którzy wrócili, i tego jednego, który już teraz nie odchodził wcale... Policjanci jeszcze wahali się co mają robić. Jeden namawiał drugiego. Tamten odrzekł: — To ty sam. Ale usłyszała głos tego młodego: — No to dawaj pan mnie... Ludzie, małą grupką stoją dalej, widzieli, że nachylił się nad nią. Uszyszeli strzał...”

Ranione kolano, wódka, trochę papierosów i jeden strzał. Nie ma tam esmanów ani szaulisów, ani gestapowców, aparat niszczenia jest tu niewidzialny, — zabija amator. A jednak z pięciu stron tej arcy-narracji powiła większą grozą, niż z wielu tomów obozowej literatury. Autorka dotknęła przelotnie jakiejś istoty rzeczy, groza jest tym większa, że została zachowana tak daleko idąca oszczędność akcesoriów. Bohaterem opowiadania jest ów lump, zjawisko pośrednie między światem ludzi a dziedzina rzeczy włączony w niszczącą maszynę śmierci. Nałkowska nie próbuje wnikać w psychologiczne pobudki jego czynu. Przyszły morderca stoi nad dziewczyną jak lunatyk i kiedy w ostatniej chwili decyduje się na strzał — wiadomo, że działa w jakimś imieniu, że nie zagadka jego autonomicznej psychologii skłoniła go do tego, ale działanie siły nadrzędnej, której on właśnie — lump małomiasteczkowy — wśród innych najbardziej jest podatny i która sprawia, że bierze rewolwer z ręki policjanta. Ta siła i podatność są dla autorki tajemnicą: „Ale dlaczego on do niej strzelił, to nie jest jasne — mówili opowiadający. — Tego nie mogę zrozumieć. Właśnie o nim można było myśleć, że mu jej żal...”

Zważywszy dotychczasową twórczość Zofii Nałkowskiej, ów gest wyrzeczenia przed penetracją psychologiczną człowieka wojny i okupacji wydaje się tym bardziej zaszczytny. Twórczyni powieści psychologicznych, ukazujących człowieka w jego rozległym skomplikowanym wymiarze wewnętrznym, rezygnuje w swym pierwszym powojennym tomie z dziedziny tak sobie podległej i opanowanej z tak niezwykłym kunsztem — na rzecz uznania sił ponadindywidualnych, które rządzą psychologią ludzką. Siłom tym przyporządkowała świat rzeczy i ludzi w „Medalionach”, świat — nie rozsądzony, lecz opisany gruntownie i przejmująco w kilku statycznych obrazach. Siły te pozostają jednak anonimowe. Nie próbuje autorka ich nazwać. Obrazy są potężne: trwają, jak odłamy starych kamiennych rzeźb, ocalałe z kataklizmu. Z kataklizmu nieodgadnionego.

Kazimierz Brandys.

Pierwszą osobą, na którą się tam natknąłem był żebrak. Nosił jako strój żółtą pierzynę, związaną „cukrowymi” sznurami, spuchnięte nogi wystawały mu z pod tej pierzyny, na brzuchu miał uwiązany jakiś garnek. Natarał na mnie jak w pustkę. Nie zmieniając wyrazu nieruchomych oczu, głos jego z pomruku przeszedł w lament, jakiego póki życia nie słyszałem. Ogrom tej nędzy zdusił we mnie zdolność do litości, zostawiając tylko przerażenie. Gdy rozjrzałem się wokół, ze zdumieniem stwierdziłem, że to zjawisko tak dla mnie wyjątkowe nikogo nie obchodzi; tragiczny cyrk tutejszy pełen był podobnych atrakcyj. Tłum nie szedł, lecz płynął, jak z porcia lub kina. Lanfent i gęstość — dwie te plagi dominowały. Tabuny żebraków rozdzielającymi głosami śpiewały wyjątki z Pisma, Psalmów, lub szlagiery; byli to żebracy przedwojenni. Podczas największego nasilenia tyfusu plamistego zimą 1941-42 wymarli za murami wszystkie biedacy — biedni ludzie, nie żebracy, którzy są istotami dzielnymi i zaradnymi. Nowi ubodzy napłynęli z prowincji, wyrzuceni ze swych domów bez niczego. Skazani na żebractwo stali pod murami i cichymi, wstydliwymi głosami prosili o jałmużnę, której nie otrzymywali. Umierali, ściągając na siebie jedynie wzgardę starych, dzielnych żebraków.

Trzeciego dnia mego pobytu w murach doktor Braun zabrał mnie na wieczorek artystyczno-muzyczny przez siebie urządzone. Program? Była to składanka od Prokoców do Szyma. Los żydowski dzwonił wszędzie jednakowo. Nie mogłem słuchać.

Czułem wstręt do ofiarstwa, do Prokoców, nie chciałem Proroków, nie chciałem koszul śmiertelnych, chciałem spokoju, spokoju, spokoju jakim technicznie najuboższy warsztat ich szewca, a jakiego nigdy nie ma u nas. Wstrętem przejmował mnie wóz Eliasza, kielich Eliasza, mur placu. Chciałem prostego, prostego życia, właśnie tego, którego najbardziej nam odmawiano. Nie chciałem cierpień, mury pekały od cierpień, od nikomu w świecie nieznanego cierpienia. Nie chciałem tej egzystencji ponad stan, ponad możliwości ludzkie, nie chciałem posłannictwa, nie chciałem Hioba, w każdym domu było więcej cierpienia niż w Hiobie, na każdym skrawku tych zamkniętych ulic było więcej bólu niż na drodze krzyżowej. Ostry smak cierpienia, nędzy i bezradności dusił mnie od trzech dni. Miałem dosyć.

Potem na estradę weszli muzykanci i coś co przypominało rysunek na lodach Pingwin — głośny dyrygent Leon Mądry. Zagrali Mozarta „Eine kleine Nachtmusik“.

Spośród stu osób obecnych na tej niedużej, brzydkiej sali o gołych ścianach, większość prawdopodobnie odebrała tak zwane staranne wychowanie, Mozart przynosił im smak dzieciństwa, drogiego każdemu i smaku dawnego życia, pachnącego teraz jak rajskie jabłko w maju. Dlaczego nawet ci, którym życie nie wycisnęło jednej łyżki z oczu, płaczą w ciemnej sali kinowej albo nad urojoną postacią książki? Czy nie dlatego, przede wszystkim, że sztuka zdejmuje z nas pancerz ambicji, że w obliczu sztuki człowiek się oczyszcza? Siedzący obok mnie doktor Ignacy Fries, jeden z najlepszych kardiologów w kraju, ujął głowę w dłonie, jak gdyby chciał ją odkręcić. Przymknął oczy i kiwał tą głową z zamkniętymi małymi oczami w takt wewnętrznych poruszeń; płakał. Spod przymkniętych powiek płynęły krople jak z dziobka butelki. Nie płakał sam; większość chowała głowy, tak, iż nie można było wątpić, co czynią. Płakali teraz nad Mozartem, jak niedawno płakali nad Hiobem. Ten jedwabisty, zróżniony, życiem dzwoniący, życiem śpiewny Mozart był w ogóle nie do pomyślenia, nie do pogodzenia z tym co się działo. Doktor Ignacy Fries wciąż płakał.

Orkiestra przestała grać, lecz pozostała na miejscach. Teraz wyszedł doktor Braun i powiedział wiersz o Mozarcie — stary wiersz Koneckiego. Doktor Braun odgrzebał go i zaprezentował jako dowód kultury jednego z jego ludzi. Doktor Braun myślał o nas kupa, jak krytyk o autorach, jak młoda dziewczyna o mężczyznach, dla niego byliśmy przede wszystkim Żydami; różnice nic go nie obchodziły. Ten wiersz, który trzy dni przed tym uważałem za bezprawny, za niewiasty, teraz przyjąłem bez żadnych zastrzeżeń jako mój wiersz. Doktor Braun nie mógł lepiej utrwalić mego pogodzenia się z Koneckim. Nazajutrz uciekłem.

Nie byłem sprawiedliwy wobec Koneckiego, wielu rzeczy nie rozumiałem. Ja nie wiedziałem że to jest tak — naród z którym wszystko można zrobić? Die ewige Verlierer — jak mówili Niemcy. Mądrzy żydzi? Gdzież byli mądrzy żydzi? Coraz bardziej rozumiałem, że mądrość polega na tym, aby nie dopuścić do sytuacji bez wyjścia. Tymczasem nasza sytuacja jest zawsze bez wyjścia. Być skazanym na humor i niehumor ludzki — jakież to gorzkie los! Płacić koszty całej historii ludzkiej?

Płacić w pierwszym rzędzie i nie przestać płacić? A jeśli ktoś nie chce? A jeśli ktoś po prostu nie czuje się na siłach?

Ów słynny artykuł z 1922 roku był wybrkiem młodzieńca. Ja jako komentator powieżeń i tonu Koneckiego nie zasługuję na zaufanie bez zastrzeżeń. Właściwym Koneckim był — jak jego imię — pseudonim. Pseudonimował bo chciał żeby zapomniał, bo nie mógł znieść ostrości, bo nie czuł się na siłach, bo się bał tego losu. Bał się tak, jak prawie wszyscy boją się nędzy. Ilekroć radości odnajdowałem w nim tego dnia, gdy komunikował mi że już wyjeżdża. „Drzew, drzew będą miał poddostawkiem”. Chodziło jednak nie o drzewa, o inny los. Nie chciał wrócić do nas, nie chciał naszego losu. Był dość stary, aby wiedzieć co on niesie — w przeciwieństwie do mnie! Historia! Wykrwawiamy się po to, aby zrozumieć to co przed nami już zrozumieli!

Czy tylko Konecki bał się tego krzyża? A ja? Czy chcąc być szczerym nie powinienem wyznać, że i ze mną działo się coś podobnego. Morze nigdy nieobeszczonych cierpień dzielnic północnej rzuciło swój duszny oddech daleko na miasto — jeszcze przed wojną. Czułem mocno swe serce, gdy mijając ulicę Bielańską, by zanurzyć się w strony, gdzie świeże były jeszcze ślady ostatnich pogromów. Gdy wrócił ze Lwowa, gdy czekając na przejście krążył z trzepocącym sercem pod murami, uprzytomniłem sobie, że drzę przecież nie od dzisiaj. Że nasz krzyż i mnie przerażał. Mnie także.

Albo czy było zupełnie tak? Czy wielki numer, który przyniósł milionom straszliwą śmierć, zabił w tych co ocalili wszystko co miało związek z narodem? Nie. Roznosiłem pieniądze ukrywającym się i widziałem ich nastroje. Jeden mówił, że wyjedzie z Polski na koniec świata, ale na końcu świata nie wróci do dawnego nazwiska i dawnej narodowości. Inny mówił, że po wojnie w jego domu słowo Żyd będzie wzbudzone na równi z nieprzyzwoitymi wyrazami. Lecz równoległe spotykałem takich, którzy marzyli o końcu ery chrześcijańskich nazwisk. Gdy dzielnica północna płonęła i bestialstwo jeszcze wzrosło, przychodziłem do pewnego kupca, który piekł macę i zmuszał mnie do rozwolnienia po jego rodzinie. Znałem innego kupca, który co dzień rano nakładał rzymski i chustę rytualną do modlitwy. Znałem kobietę, która niby nie chcąc, niby przypadkiem, paliła świecę w piątek wieczorem. Ba, jednej parze, której urodziło się dziecko, miałem koniecznie dostarczyć specjalistę, gdyż dziecko musiało być obrzezane...

Nie nie rozumiałem. Widziałem jedno: kataklizm kogo spalił, tego spalił, kto pozostał przy życiu, pozostał w dawnym życiu. Czy tylko na innych to stwierdzałem? Obserwując siebie widziałem przecież, że i ja wolę tych ukrywających się nędzarzy. Dlaczego? Otóż dlaczego?

Zaszedłem do papierni, by kupić kilka pocztówek na Wilje. Przy stole siedziało dwoje młodych, ona osiemnasto, on może dwudziestoletni. Jedno spojrzenie i mo-

mentalnie błyskawica, trzask w oczach: skazaniec czujący skazańców. Zalałem sprawunki i wyszedłem w chwilę po nich. Teraz dopiero mogłem zobaczyć, jaka to była nędza! On wysoki, chudy, utykający na nogę, spodnie miał w strzępach, jakieś płócienne buciki, nędzny jakiś płaszcz. Ona ubrana podobnie, płaszcz był jak wisiak na niej jak na słupku, pończochy w kielbaski, letnie korki. Szli od straganu do straganu, chcieli kupić jabłek, ale każde były im za drogie. Chodziłem za nimi i drżałem: A nuż jaka straganiarka — bez zięć woli — oburzona że przebiegają zaczęnie im wygarniać, bo byli, bo jednak byli podobni... Tonąc w miłości nagle rozbudzonej, pojąłem, że w naturalny sposób człowiek skazany jest na swoich. Że nimi najchętniej się żywi...

W pokoju nadal panowała cisza, ciemność taka że postać rozplywała się w masie mroku.

— Czy to pan, panie Stefanie? — krzyknąłem jak małe dziecko.

I teraz nie otrzymałem odpowiedzi.

V.

Wyjechał wtedy — jeszcze przede mną. Znajomy ziemianin zabrał go do siebie do majątku. Po trzech miesiącach miejsce stało się niebezpieczne, „melina zaczęła się palić” i ziemianin wywiózł Koneckiego do Warszawy i umieścił u kogoś z rodziny. Dobre powietrze warszawskie ożywiło pisarza; biegał po mieście, nie zważając na upomnienia. Pewnego razu minął róg Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej poczuł na sobie czyjeś oczy; zupełnie wyszło mu z głowy w jakiej jeszcze intencji mogą mu się przyglądać. Do tego stopnia zapomniał, że zawrócił, chcąc pójść do kogoś na Bagnie. Tu przystąpiło dwóch drabów. Wyższy podał mu nawet rękę, którą Konecki przyjął w najlepszej wierze, przekonany że to ktoś, kogo nie poznaje. — Znamy się — mruknął drab — Stamtąd, zza muru. I szelmoko skinał głowę w stronę ghetta. Konecki zrozumiał. Skrzyknął wysokiego, że nie ma czasu na rozmowy, że musi poszukać kogoś i rzeczywiście zostawiwszy szantażystów — pognał naprzód. Mógł uciec, ale ni stąd ni z owąd zamiast oddalić się, zaczął sprawdzać numery domów — dla uprawdopodobnienia tego co powiedział. Szantażysty znowu podeszli. Wyższy rzekł że złością: Jak pan się niczego nie boi, to chodź pan z nami do komisariatu, tam pana sprawdzą. — Zaraz, zaraz. — Nie zaraz, tylko już. My nie mamy czasu. Nam wszystko jedno, nam i tak płacą od łebka — Konecki myślał poważnie o tym, żeby bić się z nimi. Chwilami był gotów pójść na Szpitalną do komisariatu, to znowu wdał się w targi. — Chcieli dziesięć kawałków. Wysoki mówił: Nie mogę taniej. Ja h. kładę i dalej jadę. Jak przyjdzie Wańka, ty się na mnie odegrasz. Każdy z was ma pieniądze na koszty handlowe, na waleryanę. My nie mamy czasu na spacer. Albo będą pieniądze, albo pójdziemy na Szpitalną, ja swoje muszę zrobić. — Drugi także był zniecierpliwiony. Wreszcie wpełnęli go do bramy, zdjęli z niego mary-

narękę i sweter, zabrali mu portfel z tyśiącem złotych i byłoby go — prawdopodobnie puścili.

Szantażysty akurat kończyli go obrabiać, gdy z piętra schodził dziobaty tajniak, specjalizujący się w sprawach pochodzeniowych; prowadził ze sobą małą, jasnowłosą dziewczynkę. — Coście wzięli — rzekł — to wasze, teraz ja się nim zaopiekuję. Uderzył Koneckiego kilkakrotnie w twarz z krzykiem: — Ja was do samego końca będę tępił! Mojego brata, ojca tego dziecka, dzisiaj mi zamordowali. To wy mordujecie! Wy dajecie pieniądze na to, żeby naszych ludzi mordować. Wy, wy jesteście wszystkim winni! Wyście wojnę wywołali. Jeszcze dzisiaj pójdiesz na Szucha!...

Noc Konecki spędził w komisariacie na Szpitalnej; na Szucha nie odsyłano pojeźdźco. Po wyjściu dziobatego wywołał go z celi inny tajniak, Skowron, i zapytał czy ma znajomych, którzy chcieliby go wykupić. — Ma pan telefon do dyspozycji, nikt pana nie będzie podglądał, jesteśmy uczciwi. Chce pan, może pan napisać kartkę, odesłamy ją, nikogo pan nie naraża, niech się pan nie boi. Dziobaty jest zawzięty, ale ja nie nastaję na niczyje życie; wszyscy jesteście śmiertelni. Konecki niespodziewanie dla siebie samego — chcąc coś całkiem innego powiedzieć, — oświadczył, że nie ma nikogo. — Żal mi pana — odpowiedział tajniak Skowron — Wobec tego pójdzie pan jako wynik. Musimy dostarczyć na Szucha pewną ilość łebków. Wybieramy takich, którzy nie mogą się wykupić: wyniki.

Na Szucha wyszło na jaw, że Koneckiego poszukuje lwowski gestapo. Odesłano go więc do Lwowa. We Lwowie Obersturmführer Wendlandt, który się Koneckiego domagał, już dawno nie było. Następcą zastanawiał się, czy rozwalić pisarza od razu, czy umieścić go w jednym z obozów za miastem (co było równoznaczne ze śmiercią). Wybrał to drugie. Wszystkie te szczegóły znałem od doktora Brauna, który miał własny wywiad.

Światło zalało pokój. Tak, to właśnie Konecki tam siedział — mój Boże! — jakby z grobu wyciągnięty. Wyglądał jak sowa, jak wystraszona sowa. Wodził za mną wzrokiem jak postrzelony ptak za myśliwym. Korpus okrywał workiem, jak kobiety wiejskie pędem, na nogach miał jakieś kałesony, dużym palcem bosa nogi — ruchem psa — drapał drugą; nie mogłem oczu oderwać od tego ruchu. Pod szopą mlecznych włosów czaiła się twarz tupa, wychudła; jeszcze czarniejsza niż dawniej; ta czerni była nie do wywabienia — istne znamie przekleństwa. I śmierział! Jak obozowcy, jak wiele ofiar w tych czasach. Dno nędzy!...

Teraz nabrało dla mnie sensu to, co Wałęga opowiadał mi przed wyjazdem: W obozie, gdzie przebywał Konecki, więźniowie wiedząc co ich czeka, wszczęli bunt. W walce część zginęła na miejscu, resztę rozstrzelano potem. Z tej masakry ocalało kilku — cyfra nie była dokładnie znana. Gdy nadeszła noc zrzucili z siebie zwłoki, które uratowały ich i poszli przed siebie. Byli nadzy. Pukali do chałup. Nie otwierano im; żaden chłop nocą nie otwierał, chyba pod groźbą karabinu, często i karabin nie pomagał. Stali pod oknami i wołali o pomoc, o litość. Wyrzucono im jakieś łachy, przyodziali się. Gdy nastał świt, rozdzielili się licząc na to, że w pojedynkę będą bardziej bezpieczni. Jeden z tej grupy dotarł do Lwowa, do Wałęgi. Aby nie zapisać mnie przed podróżą — Wałęga — nie ujawnił mi nazwisk innych naszych znajomych, którzy zresztą „prawdopodobnie zginęli...”

Po opisanych przygodach, jak zranione zwierzę, Konecki przyciągnął do domu. Siedział więc tutaj w swych pięknych pokojach, wykładanych ciężkimi, jak zwierzęta, jak rżesa na stawach, gdzie słońce nie dochodzi, dywanami, w swych pokojach uprawianych troskliwie jak ogrody; siedział oto doścignięty przez los, którego się tak straszliwie całe życie bał.

Stałem oto przed tym lachmanem ludzkim, nachylałem się nad nim, wołałem najpierw po cichu, a potem głośno, chcąc wydobyć choć jedno słowo z tego strzaskanego ducha. Poruszał ustami, poruszał szczękami — wszystko na próżno. Nie mógł przemówić. W pewnej chwili stwierdziłem, że twarz jego skierowana w stronę drzwi, od których ja stałem odwrócony, zaczyna grać i coś jakby uśmiech na niej zakwitło. Teraz usłyszałem wreszcie jego tak przeze mnie upragniony głos — piosenkę. Stefan Konecki śpiewał starą żydowską piosenkę o żydowskiej melodii, rozpoznawalnej nawet na końcu świata. Czułem iż ktoś stoi w drzwiach, odwróciłem się. Istotnie, stał tam milicjant ukraiński:

— Jude — rzekł — i wskazał na wielkiego Stefana Koneckiego, na wielkiego pseudonim literatury naszej drugiej niepodległości. — I widać i słyhać...



Do Przeglądu prasy.

„Kozacy” w „Kuźnicy”

rys. M. Płotowski

Adolf Rudnicki

JAN ZABŁOCKI

CASUS THEODORE BILBO...

„Co jest słuszniejsze: pozbawić człowieka prawa głosu za to, że ma czar-
ne sumienie, czy za to, że ma czarną skórę?” (Illa Erenburg, 1946).

W BILOXI małym miasteczku w stanie Mississippi, w pierwszych dniach lipca 1946 roku wisiał wpoprzek głównej ulicy wielki transparent, na którym widniał ostrzegawczy napis:

„MURZYNI GŁOSUJĄ NA WŁASNE RYZYKO”.

Istotnie. W mających się odbyć w najbliższych dniach pierwsiastkowych wyborach do kongresu (parlamentu) Stanów Zjednoczonych, murzyni, którym przyszyło do głowy głosować, czyniliby to na własne, przewidziane ryzyko. Od czasu zniesienia niewolnictwa murzyni nie głosowali w stanie Mississippi (i nie tylko w Mississippi). Stan Mississippi, którego ludność to w przytłaczającej większości murzyni, niedarmo szczyli się w Ameryce szeregiem rekordów, między innymi w dziedzinie przestępczości i ilości morderstw (oczywiście popełnianych nie przez murzynów, lecz na nich).

Tutaj, na południu, mieszka większa część trzynastomilionowej ludności murzyńskiej w Stanach. Tutaj najwyższa jest śmiertelność niemowląt, tutaj najmniej wydaje się na leczenie i oświatę. Tutaj jest ostoja i twierdza amerykańskiej partii Demokratycznej i tutaj najmniej jest demokracji w życiu. Tutaj rodzą się od czasu do czasu wlecy ludzie Ameryki, ale znacznie częściej wychodzą stąd najwięksi reakcyjniści i demagodzy, jakich znała Ameryka.

Theodore Bilbo jest właśnie jednym z tych ostatnich. Od szeregu lat „reprezentuje” on stan Mississippi w Senacie Stanów Zjednoczonych. Senatorowi Bilbo nie przeszkadza bynajmniej, że jest wybierany przez niecałych 10 procent ludności, reszta bowiem nie głosuje. Przeciwnie — senator Bilbo stara się o to, aby ta reszta nie głosowała, gdyż ta reszta to murzyni, a ich głosy zdmuchnęłyby go ze sceny politycznej w mgnieniu oka.

Gdyby głosowali...

Ale nie głosują. Nie głosują dlatego, że zarówno w wyborach pierwsiastkowych w lipcu, jak w wyborach zasadniczych w listopadzie, głosować im nie pozwolono. Wiele na to było sposobów.

Po pierwsze stan Mississippi jest jednym z ośmiu stanów, w których trzeba płacić 2 dolary specjalnego podatku od głosowania (poll-tax) rocznie, w ciągu dwóch lat przed głosowaniem, aby mieć prawo głosu. Razem czyni to 4 dolary, a za tę sumę można kupić buty dla dziecka. Gdyby jednak murzyn uparł się i zapłacił te 4 dolary (co nie jest łatwe w stanie, wyróżniającym się najniższym zarobkiem przeciętnym na głowę ludność w całej Ameryce Północnej), to czeka nań druga pułapka, gdyż lokalne przepisy wyborcze powładają:

„Nie zostanie wpisany na listy wyborców ten, kto nie potrafi odczytać dowolnego ustępu Konstytucji (a jeśli czytać nie umie, należy mu ustęp przeczytać na głos), zrozumieć go i odpowiednio zinterpretować”.

Naturalnie — tutaj wyborca, a zwłaszcza murzyn, jest na łasce i niełasce urzędnika, sporządzającego spisy wyborcze i przy okazji „egzaminującego” z Konstytucji. Senatorowi Bilbo tego wszystkiego było jednak za mało. Obawiał się, że znajdzie się może garstka murzynów, niewielka, licząca niewiele tysięcy, która przebrnie przez to wszystko i zjawi się przy urnach. Bilbo wiedział dobrze, że kilku tysięcy głosów murzyńskich wystarczy, aby musiał rozstać się bezpowrotnie z Senatem. Wybory pierwsiastkowe wykazały jak słuszne były jego obawy — wygrał większością zaledwie czterech tysięcy głosów!

Potem, aby zaasekurować się całkowicie przed głosowaniem murzynów w wyborach listopadowych 1946 roku, Bilbo zapoczątkował akcje, której drobnym fragmentem był właśnie wspomniany transparent z miasteczka Biloxi. Aby uprzytomnić murzynom, jak daleko posuwają się w ryzyku, gdy idą do urn w stanie Mississippi, senator Bilbo osobiście objechał cały stan, przemawiając na licznych wiecach

I OTWARCIE NAWOŁUJĄC DO MORDERSTW,

„jako do środka, najłatwiej powstrzymującego murzynów od głosowania.

„Wzywam wszystkich Amerykan, którzy mają prawdziwą, czerwoną krew w żyłach i wierzą w wyższość i odrębność białej rasy, aby przypilnowali, by żaden nędzny murzyn nie głosował. Najlepiej uczynić to wieczorem poprzedzającego wybory... Obywatele Mississippi muszą uciec się do wszelkich środków, aby nie dopuścić murzynów do urn... Jeżeli nie wiecie jak to zrobić, to nie macie talentu przekonywania... Osiaruję swoje usługi jako adwokat każdemu, kto wpadnie z tego powodu w tarapaty. Jestem diabło szczęśliwym adwokatem. W swoim życiu broniełem już jedenastu ludzi oskarżonych o morderstwo i wszystkich wyciągnąłem z kryminału. Jak mi się to udało, to już moja sprawa”.

Trzeba Ameryce oddać sprawiedliwość — takiej „kampanii” przedwyborczej było już trochę za wiele nawet na amerykańskie podniebienie, tym bardziej, że w wyborach roku 1946 senator Bilbo ubiegał się o fotel po raz trzeci! Zainteresowanie dla jego osoby wzrosło w całych Stanach i przybrało charakter wyraźnie nieprzychylny dla bohatera. Przede wszystkim zaczęto się interesować, czy istotnie Bilbo jest taki, jak o nim piszą i mówią ci, którzy nazywają go po imieniu

zakałą Senatu i hańbą Ameryki.

Towarzystwo radiowe Mutual Broadcasting System w Ameryce, w serii swoich konferencji prasowych przy mikrofonie, zorganizowało wobec tego niedawno konferencję senatora Bilbo z przedstawicielami prasy amerykańskiej. Oprócz senatora udział brali: Bert Andrews z „New York Herald Tribune”, Cecil B. Dickson z wydawnictwa Gannetta, Ernest K. Lindley z „Newsweek”, Lawrence E. Spivak z „American Mercury” i Jack Page z „Mutual Broadcasting”. Jak widać towarzystwo było nawskroś prawicowe.

Mamy przed sobą stenogram tej arcycekkawej konferencji, w której senator Bilbo sam scharakteryzował się najlepiej przed milionami słuchaczy. Posłuchajmy więc bez komentarzy.

Andrews: Senatorze, chciałbym cofnąć się do faktu, kiedy to w plebiscycie czytelników jednego z magazynów wazszyngtońskich został pan uznany za „najgorszego człowieka w Senacie”. Czy zgadza się pan z tą opinią?

Bilbo: Słyszałem o tej historii, była opublikowana w prasie. Badałem tę sprawę, uważam ją po prostu za kawał dziennikarski...

Lindley: Panie senatorze, czy to znaczy, że pan nie uważa się za najgorszego człowieka w naszym Senacie?

Bilbo: Ja myślę, że najlepszym sędzią mojej służby w Senacie Stanów Zjednoczonych jest ludność stanu Mississippi. Jestem całkowicie zadowolony z oceny ludności — ilekroć uciekałem się do jej orzeczenia, tylekroć mnie wybierało. Już trzy razy.

Dickson: Senatorze, senator Taft powiedział w Senacie: „Jestem wstrząśnięty nagłym wybuchem nienawiści i nietolerancji w stosunku do grup mniejszości. Nie ma dla Bilbo wytłumaczenia. Człowiek ten jest zakałą Senatu. Rozważamy petycję, aby go wydalili większością dwóch trzecich głosów, ale on tylko czeka na reklamę takiego procesu. Oczywiście, senatorzy nie mogą się nawzajem denuncjować, ale naturalnie nie można Bilbo stawiać na równi z innymi senatorami”. Co pan powie na to oświadczenie senatora Tafta, senatorze Bilbo?

Bilbo: Cóż, powiem, że senator Taft, jak panom wiadomo, jest bardzo zaciekłym republikaninem. Gra on na wszystkich strunach, byle tylko zjednać tak zwanych różowych i czerwonych lub innych wyrzutków politycznego życia Ameryki dla poparcia jego interesów jako kandydata na Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Andrews: Senatorze, czy pan na serio sądzi, że senator Taft szuka poparcia komunistów?

Bilbo: Tak jest, proszę pana. On pójdzie na wszystko.

Dickson: Senatorze, czy pan trzyma zawsze straż przyboczną, która strzeże pana dniami i nocą?

Bilbo: Nie, proszę pana.

Dickson: A dzisiaj? Ilu ludzi towarzyszy panu dzisiaj?

Bilbo: Dzisiaj po prostu dla ostrożności towarzyszy mi kilku ludzi.

Dickson: Dla ciekawości, senatorze, czy ludzie ci są uzbrojeni?

Bilbo: Wie pan, że nie rewidowałem ich.

Spivak: Czy był pan kiedykolwiek, albo czy jest pan obecnie członkiem Ku-Klux-Klanu?

Bilbo: Jestem członkiem Ku-Klux-Klanu Nr 40 w Poplarville, w stanie Mississippi. Byłem tylko raz na zebraniu, a potem już nie chodziłem, bo pewne rzeczy mi się tam nie podobały.

Spivak: A czy odpowiadają panu te cele, o które obecnie walczy Ku-Klux-Klan?

Bilbo: Nie wiem, o co Klan teraz walczy. Nie informują mnie o tym.

Andrews: Czy sądzi pan, że Ku-Klux-Klan popartby pana obecnie, senatorze?

Bilbo: Tak sądzę.

Andrews: To znaczy, że właściwie pan z Klanu nie wystąpił, senatorze?

Bilbo: Nikt nie może wystąpić z Klanu. Na to składa się przysięga. Kto raz został Ku-Kluxem, jest nim zawsze.

Spivak: Senatorze, jak pan mógł złożyć przysięgę, że będzie pan popierał prawa swojego stanu i kraju, a jako senator musiał pan taką przysięgę złożyć — a równocześnie zostać członkiem organizacji, która potajemnie podkopuje te prawa, jak to czyni Ku-Klux-Klan?

Bilbo: Nic mi nie wiadomo, jakoby Ku-Klux-Klan, o ile znam tę organizację, zmierzał do podminowania naszego rządu.

Spivak: Czy nie uważa pan, że każda grupa, która organizuje linczowanie, zmierza do podminowania podstaw naszego rządu?

Bilbo: Nie uznaję prawa linczu i jako gubernator stanu zwalczałem je, a byłem gubernatorem dwukrotnie, przez osiem lat. Robiłem w moim stanie wszystko, aby skończyć z linczem.

Andrews: Senatorze, skoro nie uznaję pan prawa linczu, pragnąłbym aby pan nam wytłumaczył w prosty sposób, co pan miał na myśli, mówiąc w kampanii przedwyborczej, że najlepszym sposobem powstrzymania murzynów od głosowania jest powstrzymanie ich wieczorem przed wyborami.

Bilbo: Pan, panie Andrews, najwidoczniej czyta „Saturday Evening Post”, „Collier's”, „Time”, „Life”, „P. M.”, „Voice” i inne pisma?

Andrews: Nie, senatorze, ja czytuję „New York Herald Tribune”, do którego mam wielkie zaufanie, zwłaszcza jeżeli chodzi o uczciwość cytata”.

Bilbo: Reporterzy nie są tak bardzo godni zaufania.

Andrews: W tym wypadku, senatorze, jestem po stronie reporterów; wszyscy bowiem zgadzają się co do tego cytatu. Czyżby wszyscy razem to sfabrykowali? A może pan jednak powiedział coś podobnego?

Bilbo: Ja powiedziałem, że jeśli kto chce, aby „nigger” pozostał zdala od naszych białych demokratycznych, pierwsiastkowych wyborów w Mississippi, to uczyni najlepiej, gdy odwiedzi go wieczorem, w przeddzień wyborów.

Andrews: A więc jednak. Cóż więc pan chciał przez to powiedzieć? Czy to nie oznacza, że trzeba skorzystać z prawa linczu, by trzymać murzynów zdala od urn? Zastraszyc ich?

Bilbo: Nie, proszę pana. Tego nie miałem na myśli.

Page: Panie senatorze, ze względu na powagę programów radiowych zmuszony jestem pana prosić o nie używanie w stosunku do żadnych ras, grup lub osobistości słów obelżywych.

*) Słowo „nigger” jest obraźliwą, oficjalnie zakazaną nazwą murzyna. Słowem zwykłym jest w Ameryce „Negro”.

Bilbo: Dobrze. Pragnę zakończyć z panem Andrewsem. Miałem na myśli, że jeśli chce się zapobiec głosowaniu murzyna w naszych białych demokratycznych wyborach pierwsiastkowych, w których zgodnie z prawem nie ma on prawa głosować, to trzeba spotkać się z nim poprzedniego wieczora i odradzić mu to. Trzeba mu powiedzieć, że nie ma on prawa głosować. Odczytywałem ustawę, uchwaloną w 1942 r., nlemał we wszystkich swoich przemówieniach. Ustawa uniemożliwia głosowanie jakdemukolwiek murzynowi w stanie Mississippi. Mam zresztą jej egzemplarz tutaj.

Andrews: Czy w gruncie rzeczy nie sprwadza się to do chęci sterroryzowania tych murzynów, którzy odmiennie od pana interpretują ustawę, i do odstrawienia ich od urn?

Bilbo: Cóż, może pan to nazywać jak się panu żywnie podoba. Uważam za słuszne, aby nie głosowali.

Spivak: Senatorze, czy pan uznaje Konstytucję Stanów Zjednoczonych? Czy jako senator składał pan przysięgę, że jej pan będzie przestrzegał?

Bilbo: Tak jest, kilkakrotnie, proszę pana. Zarówno jako senator stanowy, jako zastępca gubernatora stanu, dwukrotnie jako gubernator i dwukrotnie jako Senator Stanów Zjednoczonych.

Spivak: A czy pamięta pan art. XV, który mówi: „Ani Stany Zjednoczone, ani żaden ze stanów nie mogą pozbawić ani ograniczyć prawa głosowania obywatela ze względu na rasę, kolor skóry lub dawne niewolnictwo”? Czy pan przysięgał, że będzie przestrzegał tego?

Bilbo: Nie bacząc na fakt, że poprawki XIV i XV zostały uchwalone drogą oszukańczą, przysięgałem ich przestrzegać i przestrzegam ich.

Spivak: Czy pan istotnie sądzi, że przemawiając w takim duchu, jak to pan czyni, przestrzega pan XV artykułu?

Bilbo: Oczywiście. W tym, co powiedziałem, nie ma żadnego pogwałcenia Konstytucji. Co więcej — powiedziałem, że obowiązkiem każdego białego demokrata w Mississippi jest uciekać się do wszystkich środków prawnych, aby nie dopuścić murzynów do głosowania, bo nie są oni uprawnieni do głosowania. Musi pan zrozumieć, że w Mississippi murzyni nie głosowali nigdy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu sześciu lat.

Andrews: Senatorze, a czy Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych nie poparł prawa murzynów głosowania razem z białymi?

Bilbo: Tak jest.

Andrews: No i cóż, w istocie odmawia pan zatem Sądowi Najwyższemu prawa opiniowania, co jest konstytucyjne, a co nie jest?

Bilbo: Zgodnie z decyzją Sądu Najwyższego murzyni są uprawnieni do głosowania wraz z białymi w Mississippi. Ale w roku 1942 ciało ustawodawcze stanu Mississippi uchwaliło ustawę, która zakazała murzynom głosować w naszych okręgach. Zgodnie z tą ustawą prawo głosowania związane jest z udziałem w życiu kandydujących partii w ciągu ostatnich dwóch lat, więc w całym stanie Mississippi nie ma ani jednego murzyna, który byłby uprawniony do głosowania w świetle tej ustawy. Ja więc tylko przestrzegałem ustaw stanowych, gdy usiłowałem trzymać murzynów zdala od urn.

Andrews: Ale jeżeli im nie wolno tam głosować ani teraz, ani za rok, to kiedy pańskim zdaniem zdobędą oni prawo głosowania przy tej ustawie?

Bilbo: Murzyni nigdy nie zdobędą prawa głosowania w Mississippi, proszę pana.

Spivak: Senatorze, czy pan się bardzo szczyli sukcesami supremacji białej rasy w pańskim stanie? Hodding Carter, wydawca „Timesa” w Greenville w stanie Mississippi, pisze wprost: „Mój stan znajduje się na samym końcu, lub bardzo blisko końca w spisie analfabetów, chorób wenerycznych, najniższych zarobków na głowę, zdrowotności, nieu-

